Nr 228 Kraków, Niedziela dnia 7 Października 1894. Rok II

Przedpłata w Krakowie: rocznie . złr. 16·— kwartalnie „ 4·— miesięcznie „ 1·35 Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji: rocznie złr. 20·— kwartalnie „ 5·— miesięcznie „ 1·70
Za granicę: miesięcznie złr. 2.—
Numer zwykły 8 ct. Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Ogłoszenia Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct. W „Nadesłanem" wiersz zwykły 20 ct Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct. Do działu inseratowego upełnomocnieni St. Cyrankiewicz i Spółka.
Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Adres Redakcji: **Kraków, ulica św. Anny l. 3.**
REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Adres Administracji: **Kraków, Rynek główny l. 22.**

Trzy sprawy.

Przez cały tydzień ubiegły trzy ważne sprawy zajmowały uwagę świata politycznego i te po dziś dzień nie straciły na aktualności. Mamy na myśli naprężenie stosunków między Anglją a Francją, chorobę cara i uwięzienie w Berlinie 183 fajerwerkerów. Żadna z nich nie doczekała się dotąd rozwiązania i wątpić należy, czy nastąpi to w przyszłym tygodniu. Być może, że ostatnia z nich prędzej się skończy, w tej bowiem wszystko zależy od śledztwa i sądu wojennego, ale co do dwóch pierwszych, te jeszcze czas jakiś będą niepokoiły Europę, nie należą one bowiem do tych, które wola jednostek może rozstrzygnąć.

Co do sprawy franko-angielskiej, to z zestawionych poniżej doniesień rozmaitych dzienników angielskich. zdaje się na pewne wynikać, że do naprężenia stosunków między sąsiadkami przyczyniła się głównie wojna na Wschodzie, gdzie na każdym kroku krzyżują się interesy obu tych mocarstw, ale mimo to niepodobieństwem nawet przypuścić, by z tego powodu między niemi miało przyjść do wojny, gdyż ta, bądź co bądź, byłaby dla całego świata cywilizowanego formalnem nieszczęściem. Słusznie też mówi *Temps* w ostatnim numerze: „Największe trudności między Francją a Anglją stanowią: Egipt, Siam i Madagaskar, śmiało jednak możemy się spodziewać, że dzięki mądrości obu rządów, nastąpi pokojowe ich rozwiązanie. Zerwanie między Francją a Anglją byłoby katastrofą, nie mającą sobie równej. Żaden mąż stanu nie wziąłby na siebie odpowiedzialności za taką zbrodnię, popełnioną na cywlizacji. Wzajemny szacunek i postanowienie, aby prowokacjami nie dolewać oliwy do ognia, doprowadzi znów do zgody". Powyższe słowa półurzędowego organu rządu francuskiego działają uspokajająco, bo jakkolwiek z nich przebija cała powaga położenia, jednakowoż równocześnie świadczą one o pojednawczych zamiarach Francji, co w każdym razie jest rzeczą decydującą, gdyż Anglja sama do wybuchu z pewnością nie doprowadzi. Wie ona dobrze, że przez wojnę miałaby na rynku wszechświatowym za wiele do stracenia a stosunkowo już za mało do zarobienia, więc też porywczością pewnie nie zgrzeszy.

A teraz przytaczamy szczegóły o ostatniej radzie gabinetowej w Londynie i głosy rozmaitych pism angielskich, utrzymujących z rządem stosunki.

Dwaj członkowie gabinetu angielskiego: Tweedmouth i Arnold Morley, spiesząc na wezwanie do Londynu, znajdowali się w szkockim pociągu pospiesznym, który się wykoleił pod North-Allaton. Szczęściem wyszli cało i przybyli do Londynu, o godz. 11 w nocy. W radzie ministerjalnej, prawie wszyscy jej członkowie wzięli udział. Rano, niektóre wiadomości z posiedzenia przedostały się na zewnątrz. Dziennik *Manchester Guardian* utrzymuje, że Rosja postawiła wniosek wspólnej interwencji, celem zakończenia wojny chińsko-japońskiej. Liwerpolski *Post* podaje, iż Anglja zaprosiła Francję i Rosję do wspólnego działania we Wschodniej Azji i wysłania flot do portów, aby zaopiekować się Europejczykami. Z dobrego źródła donoszą, że na radzie ministerjalnej uchwalono wysłać znaczne siły z Indyj do Azji Wschodniej. Angielskie interesa i protekcja nad poddanymi Wielkiej Brytanii, wymagają tego stanowczego kroku. W Hongkong znajduje się około 3000 ludzi, pod dowództwem jenerała Barkera. Z tych tylko 4 kompanje europejskich żołnierzy, reszta sipaye indyjscy. W Singapore i Penang, 1.400 ludzi. Większość składa się także z żołnierzy indyjskich.

Ajencja *Exchange Telegraph Company* donosi, że rada ministerjalna zastanawiała się tylko nad wojną chińsko-japońską i niebezpieczeństwami, grożącemi Europejczykom. Mniema, że prawdopodobnie wojska zostaną wzmocnione.

Ostatnie depesze przynoszą ważną wiadomość, że 6000 ludzi ma być wysłanych z Indyj do portów chińskich. Pierwsza brygada strzelców odpływa z Kalkuty 13 października do Hongkong. Resztę wojsk składa się z 2 bataljonów Gurkasów, 4 pułków Sików i 1 bataljonu fizyljerów.

Central News podaje ze źródła urzędowego, że w kwestji Madagaskaru, między rządem angielskim i francuskim, nie zaszła żadna wymiana depesz. Dalej donosi, że krzyżowce: „St. George", „Acolus" i kanonierka „Redbreast", otrzymały rozkaz wzmocnienia eskadry angielskiej na wodach chińskich.

Zdrowie cara, prawie tak samo, jak zatarg franko-angielski, zajmuje uwagę publiczną, jeśli gdzie bowiem, to w Rosji śmierć zwierzchnika państwa, który po dziś dzień nie przestał być samodzierżcą, może w wysokim stopniu wpłynąć na zmianę stosunków, jeśli już nie zewnętrznych, to przynajmniej wewnętrznych, a i te w państwie stumiljonowem są tak ważne, że się niemi całą Europa musi interesować.

Poniżej znajdzie czytelnik dosyć szczegółów o pobycie Aleksandra III w Spale, według warszawskiej korespondencji *Dziennika Poznańskiego*, która, co do choroby cara, zgadza się z tem, co nam swego czasu o niej z Warszawy pisano. Prócz tego musimy jeszcze zanotować, że *Berliner Tagblatt*, dziennik, mający z Petersburga zawsze dobre informacje, stanowczo utrzymuje, że carowi nietylko się nie polepszyło, jak to donosiły pisma angielskie i francuskie, lecz, przeciwnie, jest mu coraz gorzej i wyzdrowienia nie można się spodziewać. Chory widocznie sam przeczuwa, że mu śmierć grozi, skoro wszystkie swoje dzieci wciąż chce mieć przy sobie. Pogłoski o rejencji, z początku zbijane, obecnie znów się pojawiają.

Uwięzieni w Magdeburgu fajerwerkerzy siedzą w celach oddzielnych, a śledztwo jest prowadzone z pruską ścisłością. Po oświadczeniu *Reichsanzeigera* można się spodziewać, że cała prawda na jaw wyjdzie. Nim to jednak nastąpi, *Hamburger Nachrichten* bardzo się irytują, że wiele szczegółów o tej dla rządu niemiłej sprawie znalazło się w *Kreuz Ztg* (powtórzyliśmy je natychmiast), co świadczy bardzo źle o karności między oficerami. Widocznie któryś z nich zdradził tajemnicę urzędową. O ile się jednak zdaje, w szkole agitacji anarchistycznej nie było, a tylko objawiał się brak wojskowej subordynacji. Aby na przyszłość temu zapobiedz, nietylko szkoła będzie zreformowana, ale zostanie jeszcze przeniesiona z Berlina do Jüterbogh, aby jej wychowanków ustrzedz od naśladowania burszów uniwersyteckich.

Z pobytu w Spale.

Z Warszawy otrzymał *Dziennik Poznański* list następujący:

Dnia 30 września, w niedzielę o godzinie 6 po południu car z żoną, z następcą tronu z synem Jerzym (24-letnim, chorym na piersi) z synem Michałem (13-letnim), z córką Olgą (12-tnią), a zatem cała rodzina cara wyjechała ze Spały, udając się na Krym, zapewne do Liwadyi gdzie czas pewien ma się zatrzymać, zanim się zdecyduje, czy car pojedzie na kilka miesięcy na wyspę Korfu, lub nie? Jeszcze w sobotę wyjechał ze Spały na Korfu wielki marszałek dworu hr. Benkendorf dla przekonania się, czy znajdzie się tam dla cara odpowiednie i wygodne pomieszczenie. W świcie carskiej, która razem z nim wyjechała ze Spały, znajduje się minister dworu, generał hr. Woroncow-Daszkow, generał dyżurny (t. j. dawny znany naczelnik „ochrony" generał Czerewin), malarz Zichy, nauczyciele języka francuskiego i angielskiego księcia Michała i księżniczki Olgi, lekarz księcia Jerzego dr. Popow, dwie damy dworu, służba i t. d. W ogóle pociąg carski powiózł 39 osób, nie licząc kucharza, cukiernika, zarządzającego piwnicą i t. d.

Cały pobyt w Spale miał cechę nad wyraz smutną, grobową. Całe otoczenie carskie, w którem z Polaków był tylko margr. Zygmunt Wielopolski, wielki koniuszy dworu, administrator księstwa łowickiego i jego synowiec, Władysław hr. Wielopolski, składało się z krajowców. Z cudzoziemców był tylko kilka dni na polowaniu generał pruski hr. Werder, *attaché* wojskowy w Petersburgu i daleki krewny carski, książę Altenburski, obecnie generał armji pruskiej, niegdyś służący w armji rosyjskiej, dawny dowódca pułku huzarów grodzieńskich, który stoi załogą od roku 1862 w Warszawie.

Polowania odbywały się prawie codziennie, ale bez udziału cara. Car tylko trzy razy wyjeżdżał z margrabią Wielopolskim na podjazdkę na jelenie i własnoręcznie zabił trzy sztuki. Na stanowisku nie był ani razu. Jeleni jednak padło ogółem sztuk 19 pod strzałami następcy tronu, brata carskiego, księcia Włodzimierza, księcia Jerzego, księcia Altenburskiego, jenerała Czerewina, oraz świty. Kozłów zabito przez dwutygodniowy pobyt w Spale 42, dzików 29, zajęcy 312, lisów 17.

Oto szczegóły o polowaniach, które zaczynały się zwykle o godzinie 11 przed południem. Zjazd zaś odbywał się o godzinie 7, tj. na godzinę przed obiadem, który trwał zwykle do godziny 10 wieczorem.

Zasięgnąwszy wiadomości z najlepszego źródła, mogę zapewnić, iż stan zdrowia cara jest groźny. Donosiłem już, iż jest chory na *nephritis*, tj. na złośliwą chorobę nerek. Nie jestem lekarzem, więc nie mogę się rozwodzić nad tem, czy owa choroba jest śmiertelną, ale iż jest już bardzo rozwinięta, o tem mogę was upewnić, opierając się na zewnętrznych objawach. Car jest mężczyzną wzrostu słusznego, budowy niemal atletycznej. Otóż tak spadł z ciała, iż nie ma go, mówiąc językiem laików, połowy. Jest tak przygnębiony i smutny, iż nie siada do stołu; na obiadach w Spale był tylko raz jeden przy stole; jadał w swoim gabinecie, a w czasie obiadu bawiła go rozmową albo żona, albo ukochany syn, Michał. Trybu życia co do wstawania i kładzenia się spać nie zmieniał w Spale. O godz. 7 zrana już zawsze przeglądał papiery, o 11 spacer po parku, o 3 znowu w własnym gabinecie pracował do 6, spać chodził między 11 a 12 w nocy. Przez pięć dni był w Spale, wezwany z Moskwy, profesor tamtejszego Uniwersytetu, sławny djagnosta, dr Zacharjin (żyd), obecnie lekarz cara: przez dwa dni bawił sławny profesor berliński, Leyden. Z początku na kurację nie mogli się zgodzić, mianowicie Leyden radził nie przestrzegać zbytecznie djety i nie zmieniać trybu życia. Zacharjin był odmiennego zdania i ostatecznie Leyden uległ. Zgodzili się tylko na jedno, mianowicie na to, aby car, o ile możności, jak najmniej pracował i używał ruchu umiarkowanie. Czy to pod wpływem rad lekarskich, czy też, że widocznie stan zdrowia pogorszył się, ostatnie trzy dni car wychodził na spacer z laską w ręku i zbytecznie od pałacu się nie oddalał. Widok tego niegdyś

kolosu, dziś opierającego się na lasce, na otaczających robił bardzo przykre wrażenie.

Złe wrażenie spotęgowało też niedomaganie carowej, która na dwa dni przed wyjazdem przez nieoględność, za długo siedziała w parku na kamieniu i zaziębiwszy się, dostała w krzyżu postrzału tak, iż chodziła w pałąk zgarbiona. Zacharjin z carem nie pojechał do Liwadji i wrócił do Moskwy, Leyden zaś, niezbyt świetnie zapłacony, gdyż dostał tylko 20.000 marek, na Warszawę wrócił do Berlina. W podróży do Liwadji, towarzyszy carowi wspomniany powyżej doktor przyboczny księcia Jerzego, dr Popow.

Przyjęć włościan, śpiewów dzieci włościańskich, prezentacji władz miejscowych, nie było ani razu. Car raz jeden tylko życzył sobie mieć u stołu osobę, nie stanowiącą jego otoczenia. Mianowicie kazał zaprosić na obiad hrabiego Ostrowskiego, właściciela dóbr Tomaszów Rawski, którego lasy graniczą ze Spałą i polecił na obiad zaprosić, jak się wyraził, „swego sąsiada". Hrabia Ostrowski zaraz nazajutrz przyjechał o 8, ale do stołu nie zasiadł ani car, ani carowa, która tego dnia, jak na złość zasłabła. Dostąpił więc hr. Ostrowski tylko tego zaszczytu, iż siadł do stołu, przy którym prezydował następca tronu.

Następca tronu, nie wyjeżdżał ani na jeden dzień ze Spały. To, co pisano, iż wyjechał do Darmsztadtu do narzeczonej, nie jest prawdą. Pogłoska zaś o wyjeździe (zresztą, co do tego telegramu, który był drukowany i w gazetach niemieckich, prowadzi się śledztwo) stąd powstała, iż carowa 27 września telegrafowała do Liwadji, do niedawnej mężatki, córki swej, Kseni, te słowa: *Nous vous rejoindrons lundi ou mardi, papa souffrant, George mieux, Nicolas partira Darmstadt.* Otóż wyjazd do narzeczonej był postanowiony, ale dlaczego nie nastąpił, nie jest mi wiadomo.

Następca tronu, podczas bytności w Spale, był wesoły, prawie codziennie polował i miał tylko ten jeden niemiły wypadek, iż czwartego dnia polowań, na zakładce na jelenie (do których strzelają kulami), postrzelił Wojciecha Sobienia, należącego do naganki, syna gospodarza ze wsi Zawrotny; Sobień, pomimo natychmiastowego ratunku, zmarł na drugi dzień. Wypadek ten struł humor myśliwym, ale chłopów od brania udziału w nagankach nie odstręczył, płacą im bowiem za dzień po 80 kopiejek, dają dwa razy po kieliszku wódki i obiad z potrawą mięsną. Stały kontyngens chłopów na czas polowań wynosi 800; brani zaś są ze wsi okolicznych, po poprzedniem (codzień) obrewidowaniu i zaopatrzeniu każdego w bilet imienny. Ponieważ zaś i chłopów trzeba dozorować, aby się w naganką kto nie wcisnął, przeto całej przestrzeni leśnej pilnuje straż ziemska, oraz pułk piechoty, krąg zaś zamyka pułk konnicy. W tym roku służbę tę pełnił mitawski pułk dragonów.

Przed wyjazdem cara z kraju, Hurko dostąpił tego zaszczytu, iż na stacji drogi żelaznej iwangrodzko (demblińsko-dąbrowskiej), Jeleń, przedstawiał się monarsze. Rozmowa, z początku w sali pasażerskiej, potem na platformie, trwała z 15 minut. Car podał Hurce rękę. Hurkowej się skłonił; z naczelnikiem sztabu okręgu wojskowego warszawskiego, jenerałem Puzyrewskim i pomocnikiem Hurki, jenerałem Pawłowem (przybyłymi z Hurką), również rozmawiał. Po tej prezentacji Hurko cofnął się i stał na platformie, podtrzymywany przez adjutanta, oparty na kiju. Wygląda tak, iż litość budzi jego fizjognomja. Na lewe ucho nie słyszy, na lewe oko nie widzi, lewej ręki podnieść do góry nie może. Słowem zupełna ruina.

Z KRAJU.

Lwów 3 października.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Rolnictwo w ogóle. Szkoły rolnicze. Kółka rolnicze. Jedwabnictwo. Tytoń. Leśnictwo. Łowiectwo. Rybactwo. Mleczarstwo. Sadownictwo. Pszczelnictwo. Pawilony prywatne.

Na jeden kilometr kwadratowy przypada w Galicji 84 mieszkańców w ogóle, a z tego 74 zajmuje się rolnictwem. W generalnej sumie czyni to 4,419.636 rolników. Są to cyfry tak wymowne, że zamiast powtarzać stare, oklepane zapewnienia o tem, iż kraj nasz jest „przeważnie rolniczym", daleko lepiej zacytować poprostu te cyfry. W porównaniu z sąsiedniemi prowincjami ten procent ludności rolnej, jaki się spotyka u nas, jest olbrzymi, gdyż np. w Czechach na jednym kilometrze przestrzennym żyje 44 a na Węgrzech tylko 33 ludzi, uprawiających grunta.

Ostatnie pomiary wykazały w kraju naszym 6,609.356 morgów ziemi ornej, 1.717.883 sianożęci, 1,310.677 morgów pastwisk i połonin, 3,512.392 morgów lasu, 493.318 morgów moczarów, jezior i nieużytków. Z tego przypada na obszary dworskie 5,371.273 a na małą posiadłość 8,269.376 morgów.

Te poważne cyfry dają do pewnego stopnia miarę, jak doniosłe i poczestne miejsce na Wystawie należy się, wśród mnóstwa innych działów, rolnictwu. Profan jednak, tej roli, jaką rolnictwo gra na olbrzymim jarmarku Wystawy, nie odczuje należycie. Sprawiedliwość nakazuje wyznać, że wystawa rolnicza nie może już z natury rzeczy przedstawiać się tak okazale i świetnie na oko, jak inne działy. Maszyny, obrazy, rzeźby, fortepiany i meble, uderzają wzrok widza daleko żywiej, aniżeli worki i słoiki z nasionami.

Wszystkich wystawców w dziale rolnictwa jest 241, z tego 68 niegalicyjskich, przeważnie z za kordonu. Nasi rolnicy wystawili przedewszystkiem okazy zboża i nasion, rozmaite gatunki masła i sera, próbki ziemi i sztucznych nawozów, plany gospodarskich budynków, mapy i książki gospodarskie. Produkty rolne wystawili głównie właściciele obszarów dworskich i towarzystwa rolnicze, chłopi wystąpili w bardzo małej liczbie.

Jednym z najpoważniejszych wystawców jest komitet Towarz. gospodarskiego we Lwowie, który nie oglądając się na to, co przysłały towarzystwa okręgowe, nadesłał w okazałej postaci prace głównego zarządu. (Wielka szkoda, że tak samo nie postąpił komitet Tow. rolniczego krakowskiego). Towarzystwo lwowskie wystawiło kolekcję rozbiorów gleby, systematyczny zbiór roślin, hodowanych na rozmaitych rodzajach ziemi i szeregi tablic statystycznych, sporządzonych przez krajowe biuro statystyczne. Tablice te, wraz z rozwieszonemi obok nich, w pawilonie rolniczym, tablicami, sporządzonemi z polecenia Wydziału krajowego, dają interesujący obraz ekonomicznego życia Galicji.

Szkoły rolnicze wystąpiły w sposób, dający ogólny obraz nauki, pobieranej tam przez wychowanków. Szkoła dublańska wystąpiła stosunkowo skromnie. Zastanawia zaś zupełny brak szkoły czernichowskiej. Galicyjskie szkoły rolnicze, jak wiadomo, dzielą się na trzy typy. Niższe kształcą na gospodarzy włościańskich (szkoła w Kobiernikach) albo na dozorców gospodarskich, jak: gumiennych, polnych, karbowych itd. (szkoły w Jagielnicy, Horodence i niższa Dublańska), Typ szkoły średniej przedstawia Czernichów, który kształci rolników, mających gospodarować na małych folwarkach. Z wyższej szkoły dublańskiej mają wychodzić rolnicy, posiadający cały zakres wiedzy współczesnej w swoim kierunku. Ten sam cel ma studjum rolnicze na Wszechnicy krakowskiej. Wystawa tego zakładu, umieszczona w pawilonie uniwersyteckim, wskazuje, ze program nauki zaczyna się w nim od samych podstaw. Korzystnie przedstawia się także szkoła ogrodnicza w Tarnowie, chmielarska w Starem Siole i kurs dozorców meljoracyjnych we Lwowie.

Kółka rolnicze odgrywają w procesie uspołecznienia naszego włościaństwa tak znaczną rolę, że słusznie należał się im osobny pawilonik na Wystawie. Pawilon ten, pojęty jako typ domu Kółka rolniczego, obejmuje: gospodę chrześcijańską, izbę zebrań, czytelnię i sklep — cztery instytucje, które mają piękne zadanie wyrugować ze wsi naszej plugawe gniazdo demoralizacji — karczmę. W gospodzie tym razem zamiast pożywienia cielesnego znalazły pomieszczenie wydawnictwa ludowe, między któremi króluje krakowskie Tow. Oświaty ludowej, mające tę zasługę, że dotąd założyło już około 600 czytelń wiejskich. Dalsze izby zapełnione są pismami ludowemi, wyrobami wiejskich artystów samouków, strojami włościańskiemi, a osobno mieści się wzorowy sklepik. Kółka rolnicze przytuliły się także częściowo w wielkim pawilonie rolniczym. Tu spotykamy okazy czysto gospodarskie, jak sztuczne nawozy, narzędzia rolnicze i ziemiopłody.

Jako jedyny reprezentant jedwabnictwa wystąpił na Wystawie p. Adam hr. Marassé z Jurkowa pod Czchowem. Hodowla morwy i pielęgnowanie jedwabników nie zdołały dotychczas rozpowszechnić się w Galicji. Inne zupełnie znaczenie i większą doniosłość ekonomiczną ma dla pokuckich powiatów uprawa tytoniu. Skromna stosunkowo wystawa, urządzona przez towarzystwo, popierające tę gałąź rolnictwa (pp. Stefan Rosochacki, Jan Wielowiejski, Bazyli Kamiański, ks. Kruszelnicki, Antoni Agopsowicz), ma być obrazem dzisiejszego jej stanu. Przy śmiałej inicjatywie da się jednak bez wątpienia daleko więcej zrobić w tym kierunku. (Dok. nast.).

Zjazd kandydatów adwokatury.

(*Własny telegram Głosu Narodu*).

Lwów 6 października (w południe). Na Zjazd kandydatów adwokackich, przybyło już wczoraj wieczór kilkudziesięciu uczestników, reszta dziś rano. Ci, którzy przybyli wczoraj, zebrali się w Kasynie, gdzie odbyło się wzajemne poznanie. Obrady rozpoczęły się dziś rano. Ponieważ kandydaci adwokaccy stanowią znakomity materjał na mężów, przeto na galerjach zebrała się spora liczba Lwowianek. Wiec zagaił dr Stanisław Dobiecki. Powitał uczestników, dziękując za stosunkowo liczne przybycie, poczem wygłosił referat o dzisiejszych stosunkach kandydatów adwokackich.

Referaty rozpadły się na dwie grupy: organizacja społeczna kandydatów adwokackich i sprawa osiągnięcia adwokatury. W pierwszej grupie zabrał głos najpierw dr Szukiewicz, który imieniem komitetu, przedstawił następujące wnioski: „Wiec uznaje bezwarunkowo potrzebę organizacji społecznej kandydatów, któraby miała na celu popierać interesy tego stanu i nieść pomoc materjalną jego członkom. Najodpowiedniejszą byłaby organizacja dwóch stowarzyszeń, z siedzibą we Lwowie i w Krakowie, jednakowoż połączonych z sobą w jeden związek. Należy dążyć do oparcia kas pożyczkowych, na istniejących i w przyszłości powstać mających Stowarzyszeń wzajemnej pomocy adwokatów i kandydatów adwokackich". Wnioski te przyjęto, a przeprowadzenie ich, poruczono komitetowi wykonawczemu.

Organizację stanu adwokackiego w Austrji z organizacją w innych państwach, porównywał referent Ertel, po nim dr Józef Steinbach, imieniem komitetu, postawił wniosek, aby zażądano dla kandydatów adwokatury osobnej reprezentacji w Izbach adwokackich. Wniosek ten brzmi: „Wiec uchwala, że §. 22 ordynacji adwokackiej z r. 1868, powinien być zmienionym, a mianowicie, ma być dodany następujący ustęp: „Zapisani na listę kandydaci adwokaccy, w obrębie każdej Izby, wybierają z początkiem roku reprezentantów, którym przysługują wszelkie prawa członków Izby. Liczba reprezentantów, równa się dziesiątej części, zapisanych na listę kandydatów, przyczem ułamki uważa się za całą dziesiątkę. „Wiec uchwala, że również ma być zmienionym §. 7 statutu dyscyplinarnego, przeciw adwokatom i kandydatom adwokackim z r. 1872 w ten sposób, że dodany zostanie następujący ustęp: „Zapisani na listę kandydaci adwokaccy wybierają do rady dyscyplinarnej 3 reprezentantów i jednego zastępcę. W razie, gdy rozprawa toczy się przeciw kandydatowi adwokackiemu, lub wskutek jego doniesienia, wchodzi w skład senatu dyscyplinarnego jeden z wybranych reprezentantów kandydatów adwokackich, lub zastępca z głosem stanowczym". Dalsze losy tej rezolucji, uchwalonej jednomyślnie, powierzono osobnej komisji.

W kwestji osiągnięcia adwokatury pierwszym referentem był dr Adam Borysikiewicz. Miał mówić o praktyce sądowej adwokackiej i przedłożyć następujące wnioski: „Wiec uchwala potrzebę tylko jednorocznej praktyki sądowej i uznaje zarazem, że praktykę tę powinien rząd wynagrodzić. Wiec uznaje potrzebę zmiany §. 2 ordynacji adwokackiej w tym kierunku, że po złożeniu ścisłych egzaminów, nie może być wymaganą praktyka adwokacka, zatem obojętną jest rzeczą, kiedy kandydat, w ciągu swej siedmioletniej praktyki, uzyskał stopień doktora praw. Wiec uznaje potrzebę zmiany §. 3 ordynacji adwokackiej w ten sposób, aby z sześcioletniej praktyki adwokackiej tylko cztery lata mogły być spędzane w Prokuratorji skarbu". Referat jednak odpadł.

Dr Stanisław Dobiecki miał referat w kwestji egzaminu adwokackiego. Kwintesencja życzeń w tej sprawie streszcza się w następujących wnioskach: „Wiec uchwala, aby dążyć do tego, by dopuszczenie do egzaminu adwokackiego nie wymagało trzyletniej praktyki adwokackiej po doktoracie. Wiec uchwala, że należy przedsięwziąć kroki: a) celem zmiany rozporządzenia z r. 1854, w tym kierunku, aby przy egzaminie pisemnym cywilnym opuszczano punkt, wymagający sporządzenia przez kandydata repliki, dupliki i wyroku z powodami; b) ce-

lem dokładnego określenia zakresu przedmiotów, wymaganych przy ustnym egzaminie adwokackim.“ Uchwalono.

Uczestników Wiecu zgromadziło się w hali muzycznej na Wystawie 120, Krakowian 25. Do prezydjum wybrano: przewodniczącym Sorga, zastępcami przewodniczącego: Wesołowskiego i Drozdowskiego, sekretarzami Gaertlera i Bętkowskiego. Ponieważ wybrano prezydjum chrześcijańskie, żydzi zrobili awanturę. Wybrano przeto trzecim wiceprezesem żyda Billiga.

Dziś popołudniu zwidzenie Wystawy, jutro (niedziela) dalszy ciąg obrad. Pozostało jeszcze 10 referatów, wnioski i wybory komisji, a więc materjał bardzo obszerny.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń 5 października.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

(p.) Potrzeba zaprowadzenia kolei elektrycznych w Wiedniu, celem ułatwienia ruchu ulicznego i w okolicy metropolji, dawno się już uczuwa i nikt nie wystąpił z protestem. Idzie tylko o to, w jaki sposób mają być zaprowadzone, aby zmniejszyć niebezpieczeństwa i zarazem, żeby odpowiednio służyły do celów komunikacyjnych. Związek elektrotechniczny wysadził ze swego łona komisję, aby ta wypracowała odnośne projekty. O ile wiadomo, projekt jest prawie gotów i wkrótce zostanie przedstawiony wiedeńskiej radzie miejskiej. Ceny miejsc będą jednakowe w całem mieście, bez względu na odległość. Budowa kolei, rozpocznie się z początkiem roku przyszłego.

Wielki wyścig dystansowy na rowerach, który się miał odbyć w dniu 6 października między Wiedniem a Tryestem, z powodu deszczów i zimna został odłożony do wiosny przyszłego roku. W Wiedniu nie brak amatorów sportu kołowego, gdyż do wyścigu zapisało się przeszło 60 cyklistów.

W okolicy Badenu zaszedł bardzo smutny wypadek. Szesnastoletni chłopiec, syn wdowy Hanap., strzelał z flowera do celu. Nagle zjawiła się siedmioletnia siostra Ludwika, wracająca ze szkoły. Chciała szybko przebiedz przestrzeń między celem a strzelbą. Brat nie zauważył jej, strzał wypadł, biedna dziewczyna, silnie zraniona pada na ziemię. Odwieziono ją do szpitala, gdzie na drugi dzień skonała.

Dr Albert Wiesinger wydał ciekawą książkę, zatytułowaną „Pojedynek wobec sądu, religji, moralności i historji“. Dzieło jest nadzwyczaj interesujące, gdyż autor staje na gruncie religijnym i z przekonywującą logiką występuje przeciwko pojedynkom. Przytacza wiele wypadków, tak z dawnych czasów jak i teraźniejszych, w których padali ofiarą pojedynków ludzie, mający wszelką słuszność po swojej stronie.

Reakcja przeciwko tym krwiożerczym zapasom, od pewnego czasu, stale się zaczyna objawiać w Europie. W niektórych państwach, zaaplikowano bardzo surowe kary przeciwko pojedynkującym się i sekundantom. Nic to jednak nie pomaga, bo społeczeństwa jeszcze pod tym względem nie są dojrzałe, a fałszywe poczucie honoru, odgrywa tutaj rolę przeważną.

Na giełdzie lekkie zaniepokojenie z powodu alarmujących pogłosek o chorobie cara. Jak dotąd kursa nie wiele spadły, bo akcje kredytowe, główny barometr giełdowy, obniżyły się tylko o parę guldenów, ale starzy i wytrawni gracze zaczynają się powoli z gry wycofywać. Przebieg choroby cesarza rosyjskiego naturalnie oddziaływa na giełdę, ale głównego źródła owej lekkiej paniki trzeba szukać w kursach wyśrubowanych. Od roku ciągła zwyżka panuje niepodzielnie. Majątki rosły jak na drożdżach, a zapał do spekulacji wzrastał z każdym dniem. Obecnie nastąpiła chwila zastoju, który łatwo może się przemienić w gwałtowną zniżkę. Jak wyżej powiedziałem, wytrawni gracze opuszczają pole bitwy, a to jest zły *omen* dla giełdy wiedeńskiej.

W teatrach, jakkolwiek sezon zaczął się od 1 września, dotąd żadnych nowości. Burg i Opera zużytkowują stary materjał. W teatrze na Wideniu ciągle operetka Straussa „Nadsztygar;“ w ludowym kasowa „Madame Sans-Gêne“. Dopiero teatr Karola za parę dni wystąpi z nowością: „Pan Bigelhofer“, farsa Antony'ego i Prudensa, do której muzykę dorobili: Reiterer i Pohl.

Paryż 2 października.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Paryżanie, zwykle usposobienia bardzo wesołego, od pewnego czasu zupełnie spoważnieli. Nawet zapowiedziana premjera komedji Sardou już ich nie interesuje. Skwapliwie chwytają za dzienniki i zatapiają się w polityce. Rzeczywiście, jest nad czem myśleć. Wojna chińsko-japońska, a głównie daleka wyprawa do Madagaskaru, zaprzątą umysły wielkich i małych polityków. O ile dawniej Francuzi mieli wstręt do wszelkich wypraw zamorskich, bo nawet zyskowna wojna w Tonkinie i protektorat nad Anamem nie potrafiły rozbudzić entuzjazmu, o tyle obecnie żądni są podboju i nie szczędzą pieniędzy i swojego życia, aby tylko zabrać jakiś kraik egzotyczny. Że Madagaskar ulegnie, a jego królowa uderzy czołem przed wysłannikiem francuskim, to nie ulega żadnej wątpliwości. Zachodzi jednak pewne ale, a tem ale jest, że łatwo w sprawę madagaskarską wmięszać się może Anglja i nastąpiłyby komplikacje, których doniosłości nikt teraz obliczyć nie może. Jak dotąd, horyzont polityczny jest jeszcze dość różowy i mogę przejść do spraw pobieżnych.

Wiadomo już ogólnie, że doktor Roux odkrył szczepienie dyfterji. Wynalazek genjalnego uczonego zaaplikowano w kilku szpitalach paryskich, a rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Procent śmiertelności wyniósł zaledwie 8—10, gdy dawniej umierało 80—90 prc. Pan Roux ma nadzieję, że i ten minimalny stosunek uda mu się jeszcze zmniejszyć. Szczepienie jest jednak kosztowne, ale trzeba przyznać Francuzom, że ich humanitarność i filantropja przechodzą zwykłe granice. Dziennik *Figaro* na ten cel otworzył listę składek i w przeciągu ośmiu dni zebrał pokaźną kwotę 127.000 franków. Zdaje się, że ten dowód ofiarności nie potrzebuje żadnych komentarzy.

Zmarł tutaj Wiktor Köning, były dyrektor teatru „Gymnase“, a zarazem publicysta i dramaturg. Przez długie lata, szczęście dziwnie się uśmiechało temu człowiekowi. Sierota w dziecięcym wieku, bez opieki i porady, przebił się przez ten świat, dorobił się majątku i pewnej sławy. Wraz z Cassagnac'em, a pod kierunkiem Villemessanta, rozpoczynał pierwsze kroki na polu dziennikarskiem. Pracował w różnych organach, nie zważając na idee polityczne, przez nich wyznawane. Do spółki z Schollem, Leonem Beauvalet, Juljanen Moineaux, tworzył komedje, a libretto do operetki Offenbacha: „Córka pani Angot“ postawiło go, obok Meillhac'a i Halevy'ego.

Prawdziwa era jego świetności, rozpoczyna się od objęcia dyrekcji teatru „Gymnase“. Jako reżyser, był pierwszorzędnym administratorem. Robił fortunę przez lat kilkanaście, ale kilka wystarczyło, żeby wszystko stracił — i to w tym samym teatrze. Widząc niepodobieństwo utrzymania się przy dyrekcji, chciał przejść do Komedji francuskiej, lecz nagle dostał obłędu nieuleczalnego, który go wreszcie o śmierć przyprawił.

Przyjaciół nie miał wielu. Z natury dowcipny i kostycznego usposobienia, zrażał sobie ludzi. Szanowano go, ale nie lubiano. W każdym razie, ubył jeden człowiek z widowni paryskiej, zasługujący na obszerniejsze wspomnienie.

Kronika ostatnich dni notuje kilka strasznych wypadków. W odległym *quartier*, bawiło się onegdaj w pralni w suterenach dwoje dzieci; jedno z nich było synkiem praczki. Ten właśnie w żartach porwał na ręce mniejszą od siebie dziewczynkę i śmiejąc się do rozpuku, zapewniał, iż ją wrzuci do baniaku z wrzącą wodą, który stał opodal. Chłopak swywolny, potrząsając dzieckiem nad baniakiem, mimowoli upuścił je do wody. Nim praczka zdołała wyciągnąć dziewczynkę z ukropu, dziecię zginęło w boleściach, przerażająco poparzone.

K. W.

Z życia Chińczyków.

XXVII.

Polowanie na duszę.

Podczas naszego pobytu w U-czang-fu, w zakładzie zwanym *Simen-yuen* „Ogród bramy zachodniej“, byliśmy świadkami wypadku, który dał nam poznać, jak Chińczycy umieją pogodzić swoje praktyki zabobonne z brakiem przekonań religijnych. Mówiliśmy że ten obszerny zakład, w którym oczekiwaliśmy dnia naszego odjazdu, miał kilku lokatorów z rozmaitych stanów. Naprost mieszkania, które my zajmowaliśmy, wśród wielkiego dziedzińca, wznosiło się inne skrzydło gmachu, zbudowane z pewną elegancją. Pewien stary mandaryn, emeryt i jego liczna rodzina, zajmowali go od dwóch lat. Mandaryn ten, który zajmował był wysokie stanowisko w magistraturze w U-czang-fu, zdecydował opóźnić swój powrót do kraju rodzinnego, w nadziei, że zapomocą swego wpływu u najwyższych urzędników miejskich, będzie mógł wyrobić mały mandatarynat dla swego syna starszego. Aspirant ten posiadał skromny stopień bakałarza; był ożeniony i miał troje dzieci.

W ciągu tych dwóch lat oczekiwania nadzieje starego mandaryna jeszcze się nie urzeczywistniły, a syn jego, zamiast uzyskać posadę publiczną, nabawił się choroby, która miała go zaprowadzić do grobu. Przybywszy do zakładu, zastaliśmy tę biedną rodzinę pogrążoną w rozpaczy; stan chorego był tak niebezpieczny, że już myślano o przygotowaniu dlań trumny. Śmierć tego młodego literata miała być strasznym wypadkiem dla wszystkich członków rodziny, gdyż on był ich nadzieją i podporą.

Pierwszej zaraz nocy, którą przepędziliśmy w nowem mieszkaniu, ogród i brama zachodnia rozległy się krzykami i wystrzałami petard, które słychać było to tu, to owdzie, ale bez przerwy. Cały ten hałas miał na celu ocalenie umierającego. Chińczycy wyobrażają sobie, że śmierć jest rezultatem stanowczego rozdzielenia się duszy z ciałem — i aż dotąd mają słuszność. Ciężkość choroby ma się zawsze w stosunku prostym do usiłowań, jakie czyni dusza aby się wymknąć, a gdy chory doznaje tych przesileń straszliwych, które zagrażają jego życiu, jest to dowód chwilowej nieobecności duszy, która wychodzi na pewną odległość, ale wraca zaraz. Oddalenie to nie jest tak wielkie, żeby dusza nie mogła wywierać wpływu na ciało i utrzymać go przy życiu, chociaż cierpi ono okropnie na tej rozłące. Gdy chory konać zaczyna, widoczną jest rzeczą, iż dusza powzięła stanowczą decyzję i że ucieka ze stałem postanowieniem niepowrócenia więcej. Jednak nadzieja jeszcze niestracona i jest środek zmuszenia jej do powrotu i zajęcia swego stanowiska w ciele nieszczęśliwego, który walczy ze śmiercią. Naprzód starają się ją wzruszyć, zanoszą do niej prośby i suplikacje; biegają za nią, błagają ją aby wróciła do swego mieszkania, w wyrazach patetycznych i pełnych namaszczenia przedstawiają jej opłakany stan w jakim znalazłaby się rodzina, gdyby ona uparła się odejść. Usiłują jej wytłómaczyć jasno, że to od niej jedynie zależy szczęście lub niedola tej rodziny. Nalegają na nią, pochlebiają jej, wołają na nią: Wracaj! wracaj! cóż ci kto zrobił złego? Dlaczego nas masz opuszczać? Jakie masz powody do odejścia? Powróć, zaklinamy cię!... A ponieważ niewiadomo z pewnością, w którą stronę dusza uciekła, biegają we wszystkich kierunkach, wykonywują tysiączne ewolucje, w nadziei, że ją spotkają i wzruszą prośbami i łzami.

Jeśli prośby i łagodność nie pomagają, jeśli, dusza okazuje się głuchą na błagania i upiera się wywędrować z ciała, uciekają się do pogróżek: starają się ją nastraszyć, wrzeszczą, rzucają petardy, na los szczęścia, we wszystkich kierunkach, w których mogła się wymknąć, wyciągają ręce, aby jej drogę zagrodzić i popychają ją rękami, jak gdyby dla zmuszenia jej do powrotu, do wejścia w ciało umierającego. Pomiędzy tymi, którzy się uganiają za duszą upartą, jest zawsze ktoś zręczniejszy od innych, który w końcu wpada na jej trop. Wtedy woła o pomoc: Jest, jest tutaj! i natychmiast zbiegają się wszyscy. Łączą swoje siły, jednoczą wszystkie środki działania; płaczą, jęczą, lamentują; rozlegają się krzyki na wszystkie tony; petardy strzelają ze wszech stron, wypraważą straszliwy zgiełk około tej biednej duszy, popychają ją na wszelki możliwy sposób, tak, że jeżeli nie wzrusza się tem wszystkiem, są w prawie przypisać jej bardzo złą wolę i ogromny zasób uporu.

Przystępując do tej dziwacznej akcji, nie omieszkują nigdy zaopatrzyć się w latarnie, aby poświecić duszy, wskazać jej drogę i odjąć wszelaki pretekst do niewracania. (Dok. nast.)

Część urzędowa.

Konkurs. Wydział krajowy rozpisał konkurs na posadę nauczyciela do nauk elementarnych ogólnie kształcących i pomocniczych w krajowej niższej szkole rolniczej w Kobiernicach.

Licytacja. W sądzie krajowym w Krakowie odbędzie się celem zaspokojenia wierzytelności Banku krajowego w dniu 6 listopada i w dniu 11 grudnia 1864 o godzinie 10 przed południem przymusowa sprzedaż realności pod lk. 199 dz. V w Krakowie położonej, objętej wyk. hip, l. 1041. Cena wywołania wynosi 2200 złr. Wadjum 220.

FEJLETON.

PAN BEREŹNICKI.

POWIEŚĆ ORYGINALNA

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848.

Napisał

12 OSTOJA.

(Ciąg dalszy).

Wszczął się pisk, wrzask, muzyka prawdziwie piekielna. Tłum nie wiedząc co to znaczy, wtórował krzykom, a landsdragoni słuchali, nie wiedząc co począć. Gdy po niejakim czasie wrzawa ucichła, z pierwszego piętra, gdzie mieszkał pan *Kreishauptman*, doleciał krzyk odosobniony, płaczliwy, bardzo podobny do głosu Maurycego...

To pan *Kreishauptmann* mścił się na jedynaku, za przykrości dnia tego.

XI.

Kiedy to się działo w Przemyślu, Hilcio otrząsnąwszy się ze swych dolegliwości, pędził do miasta. Jemu już w okolicy powiedziano, że studenci urządziwszy wielką wyprawę na rodzinę Icka, karczmę spalili; a że nigdzie tak, jak na wsi, wiadomości nie przybierają co chwila form potworniejszych, więc plotkarze z oburzeniem na poczekaniu dodali, że karczmarz wprawdzie uciekł, lecz za to jego żona i dzieci tak zostały pobite, że leżą bez nadziei życia. Jakkolwiek Hilcio nie wierzył, by wszystkie szczegóły były prawdziwe, zawsze przypuszczał, że studenci zaszli tym razem za daleko, skoro okolica była taką grozą przejęta. Nie potrzebując się domyślać, że wyprawa została urządzona celem pomszczenia jego krzywdy, co w jego przekonaniu wkładało nań teraz obowiązek naprawienia choć w części popełnionych wybryków, wsiadł na wózek i co koń wyskoczy pędził do Przemyśla. Tak był przejęty swoim obowiązkiem, że zapomniał o lichwiarzach, którzy łatwo mogli go w kozie osadzić. Dopóki był studentem, należącym pod juryzdykcję nauczycieli i rektora, żydzi mogli go tylko prześladować; odkąd atoli filozofję porzuciwszy, został aktuarjuszem mandatarjusza, każdemu wierzycielowi wolno było wziąć go i osadzić w więzieniu za długi. Hilcia nie chroniła nawet małoletność, która u niego należała już do przeszłości.

Smutne te widoki, przyszły mu na myśl dopiero pod miastem, ale wtedy nie byłby się już cofnął przed żadnem niebezpieczeństwem. Wszak toby znaczyło tchórzyć, a pan Hilary Bereźnicki nie był tchórzem podszyty. Zresztą i to mu otuchy dodawało, że według ówczesnych praw austrjackich, których nie źle się już poduczył w kancelarji pana mandatarjusza, wierzyciel nie mógł brać dłużnika z domu, lecz musiał go chwytać w miejscu neutralnem, gdzieś na ulicy, następnie zaś był obowiązany utrzymywać go w więzieniu własnym kosztem.

— Parchy wiedzą — mówił sobie w duchu — że nikt by mnie nie wykupił, więc chyba nie będą się łakomili... a chociażby i odmiennego byli zdania, to już moja w tem głowa, żeby mnie nie dostali! Pojadę szybko zaułkami, stanę w dawnej kwaterze i nikt nie przypuści, że jestem w mieście. Choćbym miał wodę pić, muszę się dowiedzieć, ile jest prawdy w tych plotkach. A lamparty karczmę palić! Dam ja wam, popamiętacie wy ruski miesiąc!

To rzekłszy, podniósł do góry kołnierz od płaszcza popielatego, kołnierz wysoki a czerwonem suknem podszyty i tak otulony zajechał przed dawne mieszkanie.

Jeszcze nie przywitał się z wszystkimi kolegami, a żydzi wiedzieli już w mieście, że pan Hilary Bereźnicki sam się im w ręce oddał, wpadając jak ptak do samotrzasku. Icek zobaczywszy na przejeżdżającym wózku dobrze sobie znany płaszcz z czerwonym kołnierzem, który nie raz i nie dwa był u niego w zastawie, odgadł kogo ten osłaniał, poczem uwiadomił lichwiarzy o pojawieniu się zwierzyny, na którą od tak dawna napróżno polowali. W pół godziny, w zaułkach pod górą zamkową i w sieniach domów przyległych czatowały czarne żydków postaci.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kto winien?

POWIEŚĆ z ANGIELSKIEGO.

5

(Ciąg dalszy).

— Czy nie mógłbyś pan powiedzieć nam, jak wyglądał, w jakim był humorze? Czy było w nim coś nienormalnego?

Sekretarz zmarszczył brwi.

— Ponieważ nie przeczuwał zapewne swego smutnego losu, skądże mogło być coś nienormalnego w jego zachowaniu?

Uwaga ta dała sędziemu śledczemu pole, odpłacić p. Harwell za jego ostre odezwanie się przed chwilą.

— Obowiązkiem świadka — rzekł on — jest odpowiadać na pytania, nie z ś je stawiać.

Sekretarz poczerwieniał.

— A zatem odpowiadam — rzekł. — Jeśli nawet p. Leavenworth miał przeczucie rychłej śmierci, to mi się z niem nie zwierzył. Przeciwnie, zdawał się bardziej, niż kiedykolwiek zajęty swem dziełem. Jedne z ostatnich jego słów do mnie, były: „Za miesiąc, będę mógł oddać książkę wydawcy.“ Pamiętam, że mówiąc to, nalał sobie kieliszek „sherry“. Przed udaniem się na spoczynek, pijał wino. Ja zwykle wyjmowałem butelkę z szafy i stawiałem ją na stole. Spełniwszy to wczoraj wieczór, trzymałem już rękę na klamce od drzwi, do sieni, gdy rzekł do mnie, tych kilka słów, które już przytoczyłem powyżej. Zbliżyłem się do niego znowu. „Mam nadzieję, panie Leavenworth — rzekłem — iż dzieło zostanie ukończone w tym czasie.“ — No, to wypij pan ze mną kieliszek „sherry“ — zawołał. Sam mi nalał wina. Nie zbyt lubię „sherry“, lecz nie śmiałem odmówić i wychyliłem kieliszek do dna. Pamiętam, żem się tego potem wstydził, bo p. Leavenworth zaledwie do połowy upił ze swojego. Gdyśmy dziś rano weszli do bibljoteki, kieliszek był widocznie nie tknięty, do owej chwili.

Pan Harwell z trudnością panował nad swem wzruszeniem. Wyjął chustkę z kieszeni i otarł spocone czoło. Po chwili ciągnął dalej.

— Gdy p. Leavenworth postawił kieliszek na stole, życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem. Co potem się stało nie wiem.

Sędzia śledczy oparł się na fotelu i patrzał na młodzieńca badawczo.

— Gdzieżeś się pan udał po wyjściu z bibljoteki?

— Do mojego pokoju.

— Czyś pan nie spotkał nikogo po drodze?

— Nie, panie.

— Czyś pan nic nie widział, nic niezwykłego nie słyszał?

— Nie, panie — odparł Harwell, głosem nieco wzruszonym i drżącym.

— Zastanów się pan. Czy gotów jesteś przysiądz, że nie spotkałeś po drodze nikogo i żeś nie spostrzegł nic godnego uwagi?

Na twarzy sekretarza odbił się przestrach. Dwa razy usta otworzył i zamknął je znowu nie powiedziawszy ani słowa. Wreszcie z pewnym wysiłkiem rzekł:

— Widziałem coś... nie warte to nawet wzmianki, lecz że się to nie zdarzało codzień, więc skoro pan nalegasz, mimowoli przychodzi mi to na myśl.

— Cóż takiego?

— Drzwi uchylone.

— Jakie drzwi?

— Drzwi od pokoju miss Eleonory.

Głos p. Harwell był zaledwie dosłyszalnym.

— Gdzieżeś pan był w chwili gdyś to spostrzegł?

— Już dobrze nie pamiętam, zapewne przy drzwiach mojego pokoju, ponieważ nie zatrzymywałem się dłużej. Gdyby nie ten okropny wypadek, nie zastanowiłoby mnie to nawet.

— Czy wchodząc do swego pokoju zamknąłeś pan drzwi?

— Tak, panie.

— Kiedyś się pan do łóżka położył?

— Natychmiast.

— Czyś nic nie słyszał przed zaśnięciem?

Znowu to samo, niepojęte wahanie.

— Prawie nic.

— Żadnego szmeru na schodach?

— Może i był jaki szmer.

— Tak, czy nie? Odpowiadaj pan, czyś co słyszał?

— Nie mógłbym odpowiedzieć twierdząco.

— Lecz zdaje się panu, że tak było?

— Zdaje mi się, istotnie. Prawdę powiedziawszy, usypiając już, słyszałem na schodach jakiś szelest, lecz nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Usnąłem.

— A potem?

— Po pewnym czasie obudziłem się... obudziłem się nagle, jak gdyby mną coś wstrząsnęło. Ale co? Hałas czy też gwałtowne poruszenie? nie potrafiłbym tego określić. Pamiętam tylko, żem usiadł na łóżku i rozejrzał się na około; lecz nic nie słysząc, usnąłem znowu. Obudziłem się dopiero nad ranem.

Zapytany przez sędziego, w jaki sposób dowiedział się o zbrodni, p. Harwell powtórzył szczegóły, podane już przez kamerdynera. Następnie, sędzia spytał go, czy nie pamięta, jakie przedmioty leżały na stole po przeniesieniu zwłok do pokoju sypialnego.

— Pamiętam mniej więcej — odparł sekretarz.

— Cóż tam było?

— Zwykłe przedmioty: papiery, książki, pióro, butelka wina i kieliszek, z którego p. Leavenworth pił dnia poprzedniego.

— I nic więcej?

— Nic więcej przypomnieć sobie nie mogę.

— Mówiłeś pan, że znaleziono karafkę i kieliszek na tem samem miejscu, na którem stały wczoraj, gdyś pan wychodził z bibljoteki — spytał jeden z sędziów przysięgłych.

— Tak, panie, na tem samem miejscu.

— Zazwyczaj jednak p. Leavenworth pijał cały kieliszek?

— Tak, panie.

— A więc wkrótce po pańskiem wyjściu musiało mu coś przeszkodzić do wychylenia go do dna.

Trupia bladość pokryła twarz pana Harwell. Drgnął, błysła mu widocznie myśl straszna.

— Nie znajduję, aby tak miało być koniecznie — rzekł z widocznym wysiłkiem, — p. Leavenworth mógł...

Urwał nagle, jak gdyby nie miał siły dokończyć.

— Przyjdź pan do siebie, panie Harwell i wypowiedz nam myśl swoją...

— To nic ważnego — odparł cicho; był widocznie pod wpływem gwałtownego wzburzenia.

Sędzia śledczy nie nalegając, pytał dalej:

— Czy klucz bibljoteki tkwił we drzwiach wczoraj, gdyś pan ten pokój opuszczał?

— Nie zwróciłem na to uwagi.

— Przypuszczają, że w nich był.

— I ja tak sądzę.

— Bądź co bądź, dziś rano drzwi były zamknięte i klucz zniknął?

— Istotnie.

— A zatem ten, kto spełnił zbrodnię, wychodząc drzwi zamknął i klucz wziął ze sobą.

— Zapewne.

Sędzia śledczy zwrócił się do przysięgłych i spojrzał na nich bacznie.

— Panowie — rzekł — co do tego klucza jest jakaś tajemnica, która zgłębiona być musi.

Po sali przebiegł szmer potwierdzenia. Mały jegomość powstał i zaproponował, aby przystąpiono natychmiast do poszukiwań, lecz sędzia śledczy rzucił mu ostre spojrzenie i oświadczył, że śledztwo będzie prowadzone do końca zwykłym trybem i że wszyscy świadkowie zostaną przesłuchani.

— W takim razie pozwól mi pan zadać jedno pytanie — rzekł uparty jegomość. — Panie Harwell, mówiono nam, że gdyście wyważyli drzwi od bibljoteki, obie synowicie p. Leavenworth weszły do pokoju za panami.

— Jedna z nich tylko, mis Eleonora.

— Miss Eleonora jest tą właśnie synowicą, która miała być spadkobierczynią p. Leavenworth? — spytał sędzia śledczy.

— Nie, panie, dziedziczyć miała miss Mary.

— Lecz miss Eleonora kazała przenieść zwłoki do ostatniego pokoju — wtrącił sędzia śledczy.

— Tak, panie.

— I pan pomagałeś do ich przeniesienia?

— Tak, panie.

— Czy, przechodząc z jednego pokoju do drugiego nie zauważyłeś pan nic takiego, poczemby można wyśledzić mordercę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Skończyły się czasy ogórkowe, na dalekim Wschodzie niebo łuną pożarów płonie. Francja nasrożyła się jak lew nubijski i chce połknąć czokoladową królowę Madagaskaru. John Bul przyłożył palec do głowy wiecznie spekulującej i udając filantropa, pyta: „Kogoby teraz zręcznie obskubać?“ Krótko mówiąc, atmosfera polityczna, chociaż dotąd nie całkiem jeszcze duszna, w każdym razie zrobiła się już wielce interesującą...

Wobec tego rozpocznę i ja dziś moje uwagi od wielkiej polityki.

Czytałem w tych dniach, w kilku naszych dziennikach, że następca tronu rosyjskiego jest szczerym naszym przyjacielem, a takim zwolennikiem reform, iż postanowił raczej zrzec się tronu, niżby miał tolerować w przyszłości ucisk teraźniejszy. Sympatję dla Polaków, jak dzienniki zapewniają, okazał on podczas rozmowy z pewnym inżynierem kolejowym. Niktby nie uwierzył, jak mnie ta wiadomość ucieszyła, więc też nie wątpię, że gdy ów wybraniec losu carem zostanie, Polska będzie szczęśliwa od morza do morza...

Wszak pamiętam doskonale, co się działo pod koniec panowania Aleksandra II. Skarżono się wtedy na jego rządy, za to wynoszono pod niebiosa wolnomyślność jego syna, dobrze zaś informowany autor listów z „Rosji o Rosji“, drukowanych wówczas w *Dzienniku Poznańskim*, uroczyście zapewniał, że następca tronu, dzisiejszy Aleksander III, pisywał do dzienników petersburgskich wielce sympatyczne artykuły o „swoich Polakach“. A gdy niedługo potem wstąpił na tron po ojcu, czyż nie dochował nam sympatji? Któżby śmiał temu zaprzeczyć, skoro do dziś zbieramy dowody jego o nas pamięci. Wszak niedawno kazał wybudować cerkiew w Warszawie, teraz zaś pozwolił, aby buntowników krożańskich sądzono przy drzwiach zamkniętych, gdyż ich łzy i jęki mogłyby nam przykrość sprawić... a jutro? Ha! kto tam wie do kogo jutro należy. Może będzie ono już jego syna, a jakim ten się okaże, zobaczymy...

Inaczej, moi państwo, mówi się, gdy się dopiero dąży do władzy, a zupełnie inaczej, gdy się ją raz posiądzie. W innych stosunkach i wśród ludzi odmiennych, ci, co nami rządzą, pozbywają się dawnych przekonań, jak starych rękawiczek, a kto się temu dziwi, ten chyba świata nie zna...

Jakim to przyjacielem był jeszcze niedawno cesarz Wilhelm II, pana Józefa Kościelskiego! A teraz? *Der Moor hat seine Pflicht gethan, der Moor kann gehen...*

A jaka to radość panowała w całej Galicji, gdy p. Mora Korytowski miał zostać zwierzchnikiem dyrekcji skarbowej? Poczciwi szlachcice byli pewni, że podatków już całkiem nie będą potrzebowali płacić — tymczasem p. Mora Korytowski każe im płacić nawet od tych domów, które oni oddają swoim dzierżawcom.

Wobec tych przykładów, jakże tu nie wierzyć, że następca tronu rosyjskiego bardzo nas kocha i że kiedyś, pod jego rządami, będzie nam jak w niebie!...

* * *

Teatr rozpoczął sezon jesienny, lecz nie powiem, by go rozpoczął pod wróżbą szczęśliwą. Wprawdzie w ciągu całego miesiąca nie stało się nic takiego, za co by go chłostać należało (niech nikt nie sądzi, że o tem zapomnimy, gdy tego okaże się potrzeba), ale jeśli mam prawdę wyznać, jak dotąd, nie dostrzegłem tam także takich zmian i ulepszeń, któreby na szczególniejszą zasługiwały pochwałę. Powrót p. Siemaszki na naszą scenę, oto jedyna tegoroczna zdobycz, którą z zadowoleniem zapisuję. Mamy przynajmniej komika, którego potrzebowaliśmy nieodzownie. Personal męski mógłby nas tedy zadowolić, lecz co będzie z kobiecym? Przecie bez bohaterki nie obejdzie się żadna scena, a tem mniej nasza, na której, prócz komedji, muszą pojawiać się dramaty i tragedje. Jeżeli bohaterki dyrekcja nie znajdzie, teraźniejsze kawęczenie przeistoczy się w chorobę chroniczną, z której nic jej nie wyleczy.

Rozpoczęcie nowego sezonu „Letnikami“, o których z góry można było wiedzieć, że się nie utrzymają, nie należało także do szczęśliwych pomysłów. Wszak na początek należało dać coś takiego, coby uwagę publiczności koniecznie przykuło, fiasco bowiem sceniczne zaraz na wstępie, tak samo na widzów niekorzystnie oddziaływa, jak na żołnierzy przed rozpoczęciem walnej kampanji, pierwsza bitwa przegrana. Dziś wieczorem (słowa niniejsze piszę w sobotę rano), ujrzymy drugą premjerę, „Sto djabłów“. Domnika. Byłoby nam bardzo przyjemnie, gdyby ta nowość zatarła posmak, który nam został po „Letnikach“.

Jeszcze jedna uwaga.

Nie wiem, czy to leży w planie reżyserji, czy też stało się przypadkiem, że np. w „Madame Sans-Gêne“, rolę tytułową i marszałka Lefebvre, grali artyści, którzy żadną miarą nie mogli w nich zbierać wawrzynów. Pani Morska ma talent niezaprzeczony, lecz talent to przeważnie liryczny, który może wznieść się nawet do tragiki, lecz postaci charakterystycznej w guście rubasznej praczki odtworzyć nie może, bo fizjognomja artystki, jej głos, wiek i ruchy, słowem wszystko przeciw temu się buntuje. A co do pana Sobiesława, ten, niestety, jest zawsze tak sympatycznym Sobiesławem, a tak mało innym człowiekiem, że nie moglibyśmy go sobie wyobrazić marszałkiem Francji nawet wtedy, gdyby dziś Napoleon światem trząsł. I proszę nie dziwić się temu twierdzeniu. Wszak wielki cesarz wywyższał tylko ludzi nadzwyczaj energicznych, a p. Sobiesław czyż ma w sobie choć cokolwiek energji?

Kończąc, muszę dodać, że w reżyserji teatru widać nieporadność, brak planu, zbywanie z dnia na dzień, a to nie jest dobrą wróżbą na przyszłość.

Tylko ten zwycięża, kto przed sobą ma wytkniętą drogę jasną i prostą.

* * *

Co się stanie z Mickiewiczem? Alboż ja wiem... Stoi nieboraczek w szarej koszulinie, zimny wiatr smaga go z wszystkich stron i tylko jeden Bóg mógłby nam powiedzieć, jakie będą jego losy... Opowiadają, że sam artysta uznał potrzebę dokonania niektórych zmian, więc też nie prędko jeszcze pomnik będzie odsłonięty. Niezmiernie jestem ciekawy, jakie mogą być owe zmiany. Jeśli p. Rygier zdejmie tylko wieniec nieszczęśliwy, coś się wprawdzie poprawi, lecz nie wszystko... Boję się zresztą, że postać wieszcza, krótka a gruba, po usunięciu wieńca, zrobi się jeszcze niższa, co bynajmniej nie przyczyni się do podniesienia całości. Zresztą, usunięcie samego wieńca nie poprawi proporcyj i nie zrobi bardziej kształtnemi tych części ciała, które dziś rażą. O ile wolno mi sądzić, teraźniejszego Mickiewicza, mógłby tylko ocalić piec ognisty, z którego wyszedłby w nowej, piękniejszej formie...

Ale jest to moje własne zdanie. Czy jednak oglądali go znawcy i postanowili cokolwiek o jego przyszłości?... Nie szkodziłoby, gdyby komitet budowy zabrał w tej sprawie głos i coś wyraźniejszego powiedział, a to celem uspokojenia opinji publicznej, która, powiedzmy to sobie na ucho, jest dość rozdrażniona.

* * *

Mówią ludzie, a słyszeć to można codzień i na każdym kroku, że w Galicji żadne większe przedsiębiorstwo nie obejdzie się bez żydów. Że tak nie jest, że każdy, kto sam chce pracować i umie wziąć się do rzeczy, potrafi obejść się bez tych pijawek, mamy tego dowód na pp. Czesławie Kieszkowskim i inżynierze Dobiji, który wziąwszy w przedsiębiorstwo budowę linji kolejowej między Krasnem a Skwarzawą, na 500 ludzi przy niej zatrudnionych, nie mają ani jednego żyda. I dzięki Bogu, roboty postępują, nikt się nie skarży, zawodu nie będzie, a ciężko zapracowany grosz zostanie w rękach chrześcijańskich.

Czyż taką samą drogą nie mogliby pójść i inni?

A panowie krawcy krakowscy czyż nie pomyślą o założeniu własnego magazynu z gotowemi i taniemi ubraniami, których nie za tysiące, lecz za krocie żydzi rok rocznie u nas sprzedają? Nie ma dnia, żebym z miasta nie otrzymał w tej sprawie jakiego listu, ale chociaż pisze się, namawia, prawie prosi, nic nie skutkuje. A mimo to, panowie krawcy skarżą się, że bieda, że mało zarabiają. Lecz pomyślcie, czy biedacy mogą płacić tyle, ile suknie w waszych magazynach kosztują? Biedak musi iść tam, gdzie taniej — więc wspomaga żyda. „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże“, mówi przysłowie, kto zaś myśli, że polepszenia stosunków doczeka się nawet wtedy, gdy się sam niczem do ich poprawy nie przyczyni, ten w grubym pozostaje błędzie...

I znów pisze do mnie pewna modniarka:

„A czy pięknie to, że nasze panie, chrześcijanki, ciągną sznurkiem w głąb ulicy Grodzkiej, do sklepów żydowskich, a u modniarek własnych nic prawie nie kupują?“

Źle to nie ładnie, któż tego nie przyzna?

Jeżeli kto, to kobiety, umiejące łatwiej, niż mężczyźni, odczuć niedolę, rozumiejące lepiej od nas życia potrzeby, powinnyby się przenieść w położenie tych pracownic igły, które tylko z wielkim wysiłkiem popychają przed sobą ciężką taczkę codziennego żywota. Cóż się z niemi stanie, jeżeli wy ich magazyny omijać będziecie? Wszakże żyd do nich nie pójdzie. Na innem miejscu znajdziecie wkrótce list jednej z tych zapomnianych, może on was wzruszy...

* * *

— „Mój panie, choćbyś cały świat zszedł, nie znajdziesz takiego porządku, jak w Krakowie! — mówił mi dziś pewien jegomość wielce poważny. — Wyobraź pan sobie, mieszkam na końcu ulicy Karmelickiej, nie raz i nie dwa potrzebuję posłańca, lecz napróżno bym go szukał w mojej ulicy. Tak samo żadnego z nich nie znajdę w ulicach pobocznych, ponieważ wszyscy ci panowie mają swoje ulubione stacje w Rynku, a tylko kilku, można jeszcze czasem spotkać na placu WW. Świętych. Czy ci ludzie nie rozumieją, że gdyby rozsypali się po mieście i zajęli wszystkie ważniejsze posterunki, że wtedy i publiczność miałaby wygodę i oni sami zarabialiby nierównie więcej, niż teraz? Kto był w Warszawie, ten wie, że tam nie ma ani jednego rogu większej ulicy, przy którymby nie stało kilku posługaczów. Ale tam ponoś sama policja miejsca im wyznacza. Ja bynajmniej nie należę do zwolenników wszechwładzy państwa, jestem z całej duszy autonomistą, każdej jednostce wolność pozostawiam, lecz niechże ona korzysta z niej rozumnie i rządzi się ku dobru tak własnemu, jak i powszechnemu. Napisz pan koniecznie coś o tych posługaczach, bo doprawdy pasja mnie porywa, gdy patrzę na ich próżniactwo w Rynku, chociaż gdzieindziej mogliby łatwiej uczciwy grosz zarobić“.

Napisałem, lecz czy to pomoże?

Verax.

DREWNIANY KIRASJER.

Obrazek z paryskiego bruku.

Jesteśmy na bulwarze na rogu ulicy Taitbout. Rosi deszczyk drobny, cieniuchny, prawie niewidoczny, jakby go przez ogromne sito sypała hen, z góry, jakaś ręka olbrzymia. Całe niebo szare, zda się, zawisło niżej, tuż nad ziemią. Drzewa straciły z liści korony. Czarne błoto zalegało bruki i chodniki. Przechodnie pośliżgują się, konie utykają, koła powozów suną się jak po lodzie....

Zimno, jak zwykle w grudniu, przejmujące; powietrze ostre, niby szpilczkami kłuje, a jednak, mimo zimy, bulwar roi się od ludzi. To ciżba ludzi, którzy się spieszą za swemi interesami, ciżba ludzi, co chodzą z powagą pogrzebu, jedni drugich poszturchując.

Na bulwarze, u wylotu ulicy Taitbout, stoi ulicznik. Nie ma więcej niż dziesięć latek; włosy ciemne, źle uczesane, spadają mu na czoło twardemi, ściśniętemi splotami aż do brwi. Chłopak nie wygląda wcale czysto. Jego spodeńki, kamizelka i płaszczyk, niezgrabnie skrojone z jakiegoś aksamitnego ubrania, które, Bóg wie, odkąd nienoszone, było niegdyś koloru kasztanowatego, dziś wygląda szare, jak kurz. Wszystko to i za szerokie i za długie na niego, ale malec wyrośnie... Twarzyczka jego nie dobrze umyta. Jakiś pański powóz potoczył się tuż przy chodniku i obsypał mu całą twarz popielatemi kropkami. Chłopak przesunął rękaw przez usta zawalane, ale ot tak tylko, nie starłszy błota. Ma on oczy niebieskie, maleńkie a żywe; spojrzenie słodkie. Nazywa się Karol Frou. Ojciec jego jest handlarzem - partaczem, on robi to samo.

Od kilku dni ojciec wyzyskuje nową zaba-

wką, przedstawiającą kirasjera z drzewa. Na kółkach koń pędzi galopem, a na nim kirasjer z bohaterską miną, szabla to się wznosi, to spada, przeszywa piersi niewidzialnych wrogów, ścina głowy urojone, podczas gdy kirasjer z najeżonemi wąsikami rzuca dzikie spojrzenia.

Ojciec Frou sprzedaje dosyć tych drewnianych kirasjerów, przechadzając się wzdłuż dużego bulwaru od Ambigu aż do Madeleine. On to postawił tam na rogu Taitbout swego synka, ze stoliczkiem zawieszonym na szelkach u szyi. Na stoliczku błyszczy szwadron srogich kirasjerów. Daje mu ich codzień dwadzieścia sztuk, a cała zabawka kosztuje 20 *sous*. Toteż tyle razy po dwadzieścia *sous* oddaje Karolek ojcu co wieczora, składając rachunki z dziennej sprzedaży swoich kirasjerów, gdy wraca do domu, na szóste piętro jakiejś kamienicy na Acacias.

Na deszczu drobnym a zimnym dzwoni Karolek zębami. Jego policzki, uszy i nos są mocno zaczerwienione; ręce fioletowe, drobniutkie, wsunął aż po łokcie do kieszeń swoich spodenek. Głosem drżącym, ale przyjemnym, melancholijnym, woła mały kupczyk:

— Kirasjerzy! śliczni kirasjerzy po dwadzieścia *sous!*...

Tłum przesuwa się obojętnie...

A Karolek powtarza bez końca swój okrzyk wabiący, regularnie, w odstępach czasu, jak to słyszał u ojca.

Ojciec, wdowiec, pozłotnik metalów, zostawszy bez zajęcia, wziął się do tego rzemiosła, byle nie próżnować; sprzedając kirasjerów, pomaga sobie pieprznemi wykrzyknikami, półsłówkami, rzucanemi przechodniom, dowcipami paryskiemi zatrzymuje starych i dzieci i tak ściąga klientelę.

Tymczasem mały na Taitbout jest zawsze smutny.

— Kirasjerzy! śliczni kirasjerzy, po 20 *sous!*

Łzy czuć, słysząc jego głos. To nie dlatego, że mu zimno. On aż nadto zahartowany. I nie dlatego, żeby był chory, lub żeby mu głód dokuczał; nie, on jest dość mocny, a ojciec jest bardzo dobry dla niego. Więc czemu płacze Karolek? Czemuż wzrok jego jakby obłąkany rzuca trwożliwe spojrzenia na tych, co się zbliżają do jego stoliczka, na te dzieci bogatych rodziców, które nęci śliczny kirasjer drewniany?

Sprzedaż była tego dnia dobra...

Karolek ma już tylko jedną, jedyną zabawkę na swym stoliczku, a zaś dziewiętnaście sztuk po 20 *sous* dźwięczy na dnie jego woreczka.

Tuż obok, ocierając się prawie o niego, przechodzi dziecko za rękę przez matkę prowadzone. Chłopczyk taki maleńki, pokrzywiony, z twarzą wymokłą, żółtą, zwiędłą... Z trudnością wlecze się za matką, a garb wypaczył mu prawą łopatkę. Będzie w tym samym wieku, co Karol Frou. Zresztą, chociaż słowa nigdy do siebie nie rzekli — znają się chłopcy obaj. Spotykają się nieraz. Garbusek nazywa się Gaston Lembelly. — Co za dziwne imię dla tak biednego człowieczka? — myślał sobie Karolek — a matka garbuska, bogata wdowa, na ulicy Acacias zajmuje pierwsze piętro domu, który do niej należy.

Przechodząc obok Karola, Gaston zatrzymał się. Poznał małego handlarza zabawek. Uśmiechnął się i skinieniem głowy powiedział mu dzień dobry. W tej chwili zobaczył na stoliku jedyną, pozostałą zabawkę...

— Aa! jaki śliczny kirasjer... — wykrzyknął — mamciu, jaki prześliczny kirasjer!...

Jego oczy, czarno podkreślone, oczy chorego dziecka, które już były skazane na to, że się wkrótce zamkną na zawsze, te oczy teraz otwarły się większe, niż zazwyczaj, a ręka jego długa, chuda, jak wosk biała, wysunęła się naprzód chciwie i ująwszy zabawkę w palce, puściła sprężynę.

...I w tejże chwili rumak uniósł żołnierza, który wywija szablą, strąca z karków głowy, piersi przeszywa na wskroś...

— Mameczko, kup mi to, ja cię tak proszę... mamciu, kup mi...

— Ileż kosztuje ten twój kirasjer, moje dziecko? — spytała Karolka matka garbuska.

— Dwadzieścia *sous*, pani...

— Proszę cię, masz je oto...

I Gaston Lembelly odszedł z zabawką w ręce.

Na stoliczku nic nie zostało... Karolek spuścił główkę... wargi mu się ściągnęły... powstrzymuje się z całej siły... chciałby nie zapłakać... ale nie może! Patrzcie, jak załkał, trzęsie się cały, uderzając prawie czołem o swój stolik próżny, a ręce jego zawsze w kieszeniach głęboko...

— He!... he!... he!... biedak robi piersiami i zalewając się łzami, głośno szlocha.

Gaston Lembelly usłyszał to. Obrócił się zaraz i podchodząc ku niemu, pociągnął za sobą matkę.

— Czemu ty płaczesz? — Zaraz mu „ty“ mówił, bo dzieci, to bracia. — Czy ci kto co złego zrobił?

Karolek łka dalej, nie odpowiada, nie mógłby nawet nic wymówić. Chory Gaston nie ustępuje:

— No, przecież, powiedzże mi, czego tak płaczesz?!

Karol chciał rękawem obetrzeć mokre oczy, ale łzy spotkały się z błotem na rękawie i gdy chłopak podniósł głowę, ukazała się twarz cała na popielato zamazana. Wśród łkań z ust wyrywały mu się słowa. Tłómaczył się:

— Ja nie płaczę... nikt mi nic nie... nie... zrobił!... Wcale nie pła... pł... płaczę... tylko moi ki... ki... kirasjerzy!...

I rozpłakał się na dobre.

— No, cóż? nie zapłaciliśmy ci za twego kirasjera?

— Tak... ale ja ich tak kocham, oni tak piękni... Gdy ich mam wszystkich tu, przed sobą, przypatruję się im, to mi sprawia wielką przyjemność, to mnie tak cieszy... ja nie śmię nigdy dotykać ich się nawet... ojciec zabronił! A potem, potem, kiedy tak wszyscy odjechali... płaczę za nimi... bo jabym tak pragnął mieć także takiego jednego kirasjera, dla mnie... dla mnie samego!

— Nie poprosiłeś ojca?

— Tak, ale ojciec nie chce, mówi, że to za drogie...

Gaston objął kupczyka swoim słodkim wzrokiem, tym razem niezwykle zdziwionym.

— Więc toby ci taką przyjemność sprawiło? — zagadnął.

— O, tak!... He... he!... — odrzucił, a jego szlochanie rozpoczęło się na nowo.

Wtedy Gaston podał mu swoją zabawkę:

— Masz, daję ci... Schowaj sobie moje 20 *sous* i weź kirasjera!

Karol Frou nie wierzy temu, co słyszy, nie, on nie śmie w to wierzyć. Ręce na wpół naprzód wyciągnął niepewnie, oczy na wierzch wyszły, a usta rozwarł mu uśmiech szczęścia, jakiego jeszcze nie zaznał.... Czekał. Gaston położył na stole zabawkę.

— Prawda, mamo, że się godzisz?

— Naturalnie, moje dziecko — odparła matka wzruszona.

Poczem pani Lembelly zniknęła w tłumie wraz z małym garbuskiem.

Karolek Frou powrócił na ulicę Acasias. Jego rachunki w porządku. Wziął rano z domu dwadzieścia sztuk zabawek; wieczorem przyniósł z miasta 20 franków.

Swego kirasjera schował do kieszeni. Bawi się nim wieczorem i rano przed wyjściem z domu, a wtedy zabiera go z sobą również w kieszeni kryjąc, z obawy, żeby ojciec go nie znalazł i nie kazał mu go zaraz sprzedać. Tak było codziennie przez cały grudzień.

Ale teraz Karolek jest już wesół. Jego głos jakkolwiek jest zawsze słaby, jednak nie jest już, jak dawniej, smutny, gdy woła:

— Kirasjerzy! śliczni kirasjerzy, po 20 *sous!*

* *

Upłynęły dwa miesiące. Nasz Karolek przez ten czas nie widział ani razu garbatego Gastona, ale jego śliczny kirasjer nie znudził mu się jeszcze.

Nagle, pewnego wieczora, słyszy, jak ojciec powiada:

— Gaston Lembelly, syn gospodyni, jest ciężko chory.

Karol Frou uczuł, że mu się serce ścisnęło, a w oczach jego niebieskich stanęły duże dwie łzy..

W dwa dni później rzekł mu ojciec:

— Gaston Lembelly, syn gospodyni, umarł.

Karolek poszedł do swojej izdebki, gdzie sypiał i zamknął się tam. Położył się na łóżeczko i naciągnął na głowę prześcieradła i kołdry; skrył się pod tem wszystkiem i płakał. Płakał bardzo, sam nie wiedząc dla czego. Zasnął tak w tych łzach gorących i jeszcze przez sen płakał.

* * *

W dwa dni potem, w głównej bramie domu ze ścian zwisały czarne obicia, a na nich srebrzyły się litery: G. L.

A pośród kwiecia i wieńców, między dwiema płonącemi świecami z wosku — trumienka stała taka maleńka, nie większa od tej, jakiejby potrzeba dla pięcioletniego dziecka.

I tylu przyjaciół wokoło tej trumienki...

A bardzo daleko za pogrzebowym orszakiem, odziany w swój garnitur aksamitny, umyty i uczesany jeszcze gorzej, niż zwykle, z obiema rękami wiecznie w kieszeniach u spodni, Karolek Frou szedł sam.

Niebo było ciemne, wiatr silny, co do kości przejmował, sypał w oczy tym lodowatym deszczem. O, zaiste, nie miło było żyć w takiej porze! Ale Karolek dobrze zrobił, że poszedł, bo zaszedł do kraju, gdzie się gromadzą wszystkie dzieci razem, żeby się kochać wzajemnie, wszytkie dzieci bogate, co miały litość nad biednemi...

Karol Frou nie śmiał przecisnąć się do kościoła. On kręcił się po ulicach, czekając cierpliwie, ale za to skoro kondukt ruszył dalej, ku cmentarzowi Montmarte, i on się doń przyłączył. Potem trzymał się zdala tego tłumu, gdy garbuska chowano. Jakoś wstyd mu było, że się tam znajdował, nie powiedziawszy o tem nikomu, wstydził się tego, jakby co złego zrobił. Omijał dozorców cmentarza z obawy, żeby go stamtąd nie wypędzili. Widział jak przed nim przechodzili panowie i panie w żałobie, i dużo dzieci i przyjaciół, znajomych małego nieboszczyka. Wiele osób miało oczy zaczerwienione.

Nakoniec, gdy już nikogo nie było przy grobie, gdy mały Karolek spostrzegł, że go wszyscy opuścili, wtedy drżąc od zimna na wilgotnej ziemi, zbliżył się nieśmiało do świeżej mogiły, oglądając się trwożnie poza siebie, czy go kto nie widzi.

Ale nie, był całkiem sam...

Wtedy z głębokiej kieszeni swoich spodni aksamitnych wyciągnął tak delikatnie, tak czule swego ukochanego kirasjera drewnianego...

Przez chwilkę wpatrywał się w niego jak w tęczę... pociągnął za sprężynkę... I po raz ostatni koń popędził galopem... szablą wywijał kirasjer w powietrzu i w pień wyciął groźnych wrogów...

Karolek pocałował go...

Potem delikatnie położył zabawkę na grobowcu, między wieńce, między kwiecie...

Literatura polska.

Poezje Włodzimierza Zagórskiego. Warszawa, nakładem T. Paprocki i Spółki, 1894.

W „Poezjach“ Zagórskiego jest z każdego rodzaju potrosze. Część pierwsza zawiera dwadzieścia sześć drobniejszych utworów na różne tematy, począwszy od błahostki, przeznaczonej do albumu, aż do filozoficznego „Psalmu tęsknoty“. Część drugą wypełnia żartobliwy „Poradnik dla konkurentów“ (studjum filozoficzno-psychologiczno-etologiczne) i w trzeciej przedrukował Zagórski znany poemat liryczny w trzech pieśniach p. t.; „Król Salomon“, w czwartej pomieścił przekłady i naśladowania.

Wiadomo, że Zagórski jest przedewszystkiem nieposzlitym majstrem formy. Jako prozaik bardzo staranny stylista, ugniata on jako rymotwórca język, niby wosk posłuszny. Słowo nagina się u niego bez oporu do każdej potrzeby, giętkie i dźwięczne.

Z usposobienia krytyk, radzi sobie Zagórski najlepiej z tematami treści satyrycznej. Jego „Tercet“, „Rozmowa pijaka z księżycem“, „Bieda biedy biedą będzie“, „O niej“, „Śnił mu się szatan we własnej osobie“ należałyby w każdej literaturze do pereł humorystycznych.

Wraca sobie „strąbiony pijanica“ późną nocą do domu i wiedzie z księżycem rozhowor następujący:

„Niby od czego ty właściwie jesteś stary durniu?“

Za matką ziemią biegniesz wciąż,
Dzierżąc się jej fartuszka
I tylko kłopot z tobą ma
Poczciwa ta staruszka.

To słońca jej zaćmiwszy twarz
Pogrążasz nas w frasunku,
To znowu łonem wstrząsasz jej
Sromotnie, bez szacunku.
Cyklony groźne na nią ślesz

I na plag domiar jeszcze
Sprawiasz, że wyją do cię psy,
I wiersze piszą wieszcze.

Po niebie plączesz się, jak ćma,
Gdzie ciebie nie posieje,
Tam wschodzisz, trupi lejąc blask,
Lecz światło twe nie grzeje...
Blachman pokrywa oczy twe
I mordę masz zapitą,
Choć pijasz — cha, cha! — tylko mgły,
Ty, głupi satelito!

W orszaku gwiazd tyś ciurą jest,
A dmiesz się wielkim panem,
Myśląc, że imponujesz mi
Twem światłem pożyczanem.
Idjoto ty — udajesz świat,
A mówią nam gwiaździarze,
Że jednej karczmy nie ma tam
Na całym twym obszarze.

Więc na co właściwie stworzył ciebie Bóg, ty, srebrny niedołęgo? — pyta „pijanica strąbiony". A księżyc odpowiada:

Nie sarkaj, bratku... Wszak to ja
Pijakom do dom świecę...

Ale nie zawsze bawi się Zagórski kosztem pijaków, grajków, kobiet i t. d. Wykształcony wszechstronnie po literacku, czuje on potrzebę owej harmonji między człowiekiem a otaczającym go światem, która jest właściwym celem cywilizacji. Wówczas nastraja się jego wytworna lutnia lirycznie, skarżąc się na niemoc człowieka. Znany jest powszechnie ‚Król Salomon" Zagórskiego, oceniony należycie przez chętnych i niechętnych.

Dośpiewką do „Króla Salomona", wydanego po raz pierwszy w r. 1878-ym, jest „Psalm tęsknoty" (*La nostalgie du divin*), drukowany temu lat kilka w *Kurjerze Warszawskim*. Obydwa te utwory stanowią jedną całość i zaznaczają dwa główne momenty owej ewolucji pojęć, jaką pod wpływem doktryn nowożytnej filozofji przechodzić musi każdy umysł trzeźwy i nieuprzedzony, jak sam autor w przypisku objaśnił.

Poeta-myśliciel, przebywszy pustynię negacji, wrócił ostatecznie do deizmu.

I chwała Tobie, żeś w duszę człowieka
Wszczepił tę twardą wiarę w nieśmiertelność,
Co majestatem skroń jego obleka,
I krzepi ducha, w nim męstwo i dzielność,
I jad ziemskiego odtruwa cierpienia
I śmierć nadzieją życia opromienia.

I bądź sławiony, że w trosce i mroku
Pozostawiłeś mu świętą tęsknotę,
W której też pełen przeglądasz się oku,
Jak w fali słońce przegląda się złote,
I które świadczy o Tobie — jak fala
Świadczy o słońcu, gdy się niem zapala.

Nową serję „Z teki Chochlika" zamyka przekład dramatu Coppée go p. t: „Ojcze nasz", tak doskonały, że dorównywa oryginałowi.

Teodor Jeske-Choiński.

LITERATURA OBCA.

Coquelin o sztuce aktorskiej.
(Dokończenie).

Szacunek ten dla intencyj autorów niemało raz kosztował Coquelina. Gdy rola księcia Mantui, w sztuce Alfreda de Musset, *Fantasio*, spoczęła w jego rękach, uczuł się wobec tego zadania dość bezradnym. Odwidzał umyślnie Pawła de Musset, brata Alfreda, aby dowiedzieć się o najdrobniejsze szczegóły, jak sobie Alfred tego księcia wystawiał. W grze zastosował się do tych wskazówek i krytyka nie pozostawiła na nim suchej nitki. Zarzucono mu z gruntu fałszywe pojmowanie roli, a wymówkom nie było końca. Coquelin nie dał się atoli zbić z tropu i później, zachwycał swoim księciem Mantui... Adepci sceny, którzy wobec powyższego przykładu nabiorą przekonania, że warto posłuchać doświadczonych rad Coquelina, przyjmą z większem jeszcze zaufaniem wykład jego o technice sztuki scenicznej.

Nad wyraz uroczyście zapewnie on, że na scenie posługiwać się należy wymową: *Il ne faut pas parler comme on parle, il faut dire*, nie trzeba mówić, jak się mówi, trzeba wypowiadać. W francuzczyźnie są zwroty, jak n. p.: *dire une chanson, dire une tirade*. Zwykłe „mówić" *parler*. My tak dokładnie cieniować nie umiemy; „wypowiadać" musi zająć środek między deklamacją, recytowaniem, a pospolitem mówieniem. Też same zdolności w wymowie, przypisuje Coquelin, gestykulacji. Razu pewnego grał Prevost w „Phaedrze" rolę Hipolita. W wielkim monologu dobił już szczęśliwie do ostatnich dwóch wierszy, gdy naraz pamięć mu nie dopisała. Poddać ucho suflerowi nie było podobna, najmniejsza pauza zepsułaby efekt. Zdeterminowany zadeklamował, nie zmieniając żywego toku, jakieś dwie fantastyczno-volapükowe aleksandryny, cieniował atoli tak znakomicie dopomagając sobie z naciskiem mimiką i giestem, że publiczność przeświadczona, iż słyszała słowa w jakimś cywilizowanym języku, w rzęsiste wybuchła brawa... Największy skutek wywoła aktor zawsze głosem. „Musicie — woła Coquelin — posiadać stosownie do roli głos pochlebcy, obłudnika, impetyka i zucha, głos łabędzi, czuły i zawodzący. Musicie obejmować całą skalę od fletu do surmy".

Bardzo szczegółowe uwagi poświęca Coquelin oku aktora.

„Jeżeli masz coś do opowiadania, to musisz to widzieć; obraz tej rzeczy przejdzie z twego oka drogą refleksji do ócz publiczności". Rozumie się, że Coquelin żąda konsekwentnie od aktora podobnego opanowania oka, jak osoby. Nigdy nie tracić panowania nad sobą, czy to w spojrzeniu, czy w postawie, lub w ruchu ręki; zwrotkę tę powtarza Coquelin bezustannie. Aktora indentyfikującego się z rolą, zapominającego o scenie, uważa Coquelin za szaleńca i to niebezpiecznego, ponieważ w roli „Harpagona" mógłby nagle skoczyć między krzesła, pochwycić kogoś za gardło i żądać okupu... Adelajda Ristori, będąca w swoich zapatrywaniach istnym antypodem Coquelina, twierdziła raz w rozmowie z pewną wykształconą angielką, że artysta wtedy tylko stworzyć może coś doskonałego, jeżeli to istotnie odczuwa. „A cóż wtedy, gdy u m i e r a c i e na scenie? — zapytała angielka. Ristori zamilkła...

Wreszcie rozwodzi się szeroko nad naturalizmem i powiada z iście francuską precyzją: „Jestem zwolennikiem natury, ale przeciwnikiem naturalizmu". Mnóstwem przykładów stara się uzasadnić twierdzenie, że naturalizm nie zgadza się z klasyczną tragedją. Inaczej przecie wypowiada się strofy z „Atalji", niż zapytanie: „Dzień dobry, jak zdroweńko?" Ten sam Coquelin, który wyznaje zasadę: „Wszystko powinno wypływać z prawdy, a zmierzać do ideału", dał raz jedyny, co prawda nieumyślnie, świetną próbkę naturalizmu. W pewnej artystycznej *tournée* przejechał noc całą, przed południem odbył próbę, następnie udał się na wycieczkę pieszo. Rozumie się, że wieczorem znużony był śmiertelnie. Tymczasem grał on rolę Hannibala w Augiera „Awanturnicy", który na końcu drugiego aktu, po zbyt obfitych libacjach, zasypia. Gra przeszła w rzeczywistość. Coquelin usnął na serjo i chrapał w najlepsze. Po zapadnięciu kurtyny z trudnością obudzili go koledzy. Krytyka i część publiczności zauważyła, że w scenie snu była przesada. Tak nikt w rzeczywistości nie śpi... Nawiązując do tej zabawnej przygody, przypomina Coquelin anegdotę o chłopie, który założył się, że potrafi kwik prosiaka lepiej naśladować, niż produkujący się komedjant. Prosię schowane pod płaszczem uszczypnął w ogon aż kwikło, zakład atoli wygrał komedjant, bo widzowie rozstrzygnęli, że imitował on kwik prosiaka o wiele lepiej, niż chłop... W ten żartobliwy sposób propaguje Coquelin prawdę. Naturalizm nigdy nie jest bezsilniejszym, niż wtedy, gdy sztukę pragnie zastąpić rzeczywistością. Oto streszczenie interesującej książki Coquelina.

Ze świata tonów.

Sezon londyński w „Covent Garden" zakończono wspaniałą operą Wagnera „Meistersingerzy", w której rolę tytułową wykonał Jan Reszke. Dzienniki miejscowe, podające obszerne artykuły o całym sezonie, repertuarze i artystach, taką czynią wzmiankę o naszym znakomitym tenorze:

„Wielbicielom opery dobrze jest znane imię Jana Reszkego, dziś należy mu się złożyć *hołd ogólny za tryumf*, z jakim zakończył pracę tenor polski".

W dalszym ciągu dzienniki przytaczają mowę dyrektora Harrisa, jaką miał do publiczności po skończeniu opery. W przemowie swojej H. między innemi tak powiada:

„Co do repertuaru wzmocnię go również. W dodatku do najpopularniejszych oper, na których partytury posiadam wyłączne prawo, jak: „Romeo", „Carmen" i arcydzieła Wagnera, mam nadzieję, że Jan Reszke będzie śpiewał w „Manon" Masseneta. Zdaje mi się, że nigdzie na świecie „Lohengrina" nie można grać tak doskonale, jak go śpiewa i gra niezrównany Reszke, z całą swoją trupą. Na przyszły rok mogę obiecać państwu *wielki festyn*, gdyż J. Reszke będzie śpiewał rolę Tristana po niemiecku. Wtedy postaram się pokazać, jak opera powinna być uscenizowana, a Reszke — jak *powinna być śpiewana*".

Tyle pisma angielskie. Od siebie dorzucamy parę szczegółów. Reszke pisał do pani Wagnerowej, prosząc, by wskazała muzyka, któryby najlepiej znał dzieła jej męża, tempa, cieniowanie, słowem wykonanie takie, jakiego kompozytor sam pragnął. Pani Wagnerowa z największą gotowością wskazała, jako jedynego dyrektora szkoły wagnerowskiej w Bayreuth, p. Juljusza Knize. Reszke w tej chwili go zaangażował i przez lato w Plombières, a obecnie w Borownie przechodzi cykl oper wagnerowskich.

W r. b. w Ameryce, prócz oper: „Romea", „Proroka", „Wertera", śpiewanych w języku francuskim i włoskim, nasz artysta śpiewać będzie; „Lohengrina", „Mistersingerów" i „Tristana" w języku niemieckim. W r. p. czeka melomanów nowa niespodzianka, która już dzisiaj sprawia wielką sensację: oto Reszke śpiewać będzie w Bayreuth.

Jan Reszke razem z dyrektorem Knize zawitają wkrótce na kilka dni do Warszawy.

KRONIKA.

Kraków dnia 7 października.

Kalendarz kościelny. Dziś N. Marji Panny Różańcowej; jutro Drygidy i Pelagji.

Dziś, jako w uroczystość M. B. Różańcowej w kościele OO. Dominikanów, sumę ks. kan. dr Spiss, kazanie wypowie ks. Bystrzonowski, kaznodzieja katedralny. Podczas sumy chór św. Jacka odśpiewa mszę F-dur na 4 głosy „Sanctae Luciae" Fr. Witta. Podczas nieszporów odprawianych przez poprzedniego celebransa, chór odśpiewa nieszpory ks. dra J. Surzyńskiego, na 3 głosy, z organem. Poczem wyruszy wielka procesja na Rynek główny, prowadzona przez ks. kan. dra Spissa.

W kościele Marjackim, w niedzielę kazanie o godzinie 10 wypowie ks. Kądziała, katecheta szkół miejskich, następnie sumę odprawi ks. Stefan Skoczyński, prokurator kościoła Marjackiego.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczął się dziś o godz. 5 min. 50, zachód przypada na godz. 5 min. 3; długość dnia 11 godzin 13 minut.

Ciepła rano stopni 11 C.

Rocznice historyczne. Dnia 7 października 1875 r. młodzież akademicka urządza wieczorek muzykalno-deklamacyjny w lokalu Czytelni akademickiej na pożegnanie Teofila Lenartowicza, opuszczającego Kraków, po krótkim tu pobycie.

Ucisk wojsk saskich za Augusta II-go, wbrew zobowiązaniu króla w Polsce zatrzymywanych, stawał się niekiedy tak srogi, że ludność wieśniacza, a niekiedy nawet i drobniejsza szlachta, w najstraszniejszy głód popadały, bo wojska saskie zabierały wszystkie artykuły żywności. Sasi dopuszczali się nawet gwałtów i morderstw. Zabili Turskiego, starostę pilzneńskiego i Bełchackiego, kasztelana bieckiego. Wszczął się ruch przeciw Sasom; Stefan Wielogłowski, cześnik rawski, szlachcic sandecki, zebrał koło 700 szlachty z okolic Sącza i Biecza i postanowił wystąpić z nią zbrojno przeciw Sasom.

Gdy król August II lekceważąc sobie te ruchy, wojsk saskich z Polski nie odsyłał, a one w wyzywający sposób ze szlachtą postępować zaczęły, nastąpił wreszcie rozlew krwi. Dnia 7 października 1715 r. napadła szlachta na saski pułk kirasjerski i pod Radgoszczą wycięła go do nogi. Tegoż dnia pod Tarnowem walczono z trzema pułkami saskiemi; dowódca saski cofnął się do Krakowa, dopuszczając się po drodze najstraszniejszych wobec szlachty okrucieństw.

„Sto djabłów" górą! U szerszej publiczności musi mieć dobrą markę p. Domnik, autor „Dzieci muzy" i „Wigilji św. Andrzeja", skoro na nową jego premierę p. t.: „Sto djabłów", chociaż nikt jej nie reklamował, bo nikt nie wiedział, jaka to sztuka, wczoraj, tyle osób pospieszyło, że prawie wszystkie miejsca były w teatrze zajęte. I nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że wieczór zmarnował. Przeciwnie, wszyscy bawili się doskonale, bo chociaż „Sto djabłów" nie są komedją w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, a tylko uscenizowanym obrazem s p o ł e c z n y m z epoki Stanisława Augusta, mimo to, tak samo, jak „Madame Sans-Gêne", która jest obrazem p o l i t y c z n y m, dzięki dobrej fakturze zajmują uwagę widza i sprawiają mu prawdziwą przyjemność. Całość podobała się bardzo, więc też nie dziw, że autora po kilkakroć gorąco wywoływano. Ostatnie dwie sceny doma-

gają się gwałtownie radykalnej przeróbki, lecz o tem później pomówimy. Dziś zaznaczamy tylko z prawdziwem zadowoleniem, że nowa sztuka p. Domnika przeszła szczęśliwie ogniową próbę i w repertoarzu, dla ogólnego wdzięku, który w niej jest rozlany, niewątpliwie się utrzyma. Grano dobrze, wystawa była wspaniała, kostjumy panów i toalety dam wprost olśniewały. *Verax.*

„Kasyno powszechne“ zaroiło się wczoraj gośćmi, dla których atrakcją było wesołe przedstawienie amatorskie i zabawa tańcująca. Wcale dobrze wypadły trafnie wybrane jednoaktówki: „Nie mów hop, aż przeskoczysz“ W. Bobrowskiego i „Czuła struna“, francuski wodewil. W pierwszej Julja, w drugiej zaś panna T... jako Zizina robiły furorę. Po przedstawieniu zabawa tańcująca, prowadzona przez p. Ganszera, przeciągnęła się do wczesnego ranka. Tancerzy nie brakło, zwłaszcza że młodzież akademicka stawiła się licznie do apelu, a muzyka 56 pułku pod kierunkiem p. Heydy grała wybornie do ostatka.

W panoramie na linji A—B, w Rynku, można oglądać najpiękniejsze widoki Aten i Konstantynopola. Serja ta jest tak interesującą, że możemy ją szczerze polecić naszym czytelnikom.

Pociągiem wystawowym odjechało wczoraj z Krakowa przeszło 200 osób.

Pobór myta od powozów, dążących na plac wyścigowy w niedzielę i we wtorek, odbywać się będzie przy rogatce Wolskiej — nie przy powrocie, lecz przy wyjeździe powozów z miasta.

IV kadencja ławy przysięgłych zakończyła pracę swoją po 25 dniach urzędowania (nie wliczając w to niedziel i świąt) w piątek, o godzinie wpół do 11 w nocy. W ośmnastu sprawach karnych wydano dwa wyroki śmierci, dalej wymierzono kary ogółem 17 lat i 3 miesiące ciężkiego więzienia i aresztu. Uwolniono od odpowiedzialności 8 osób. Za kradzież i rozbój pociągnięto do odpowiedzialności 5 osób, za oszustwo 3, morderstwo i zabójstwo 4, podpalenie 4 (za te ostatnie wszystkich oskarżonych uwolniono), za inne wreszcie zbrodnie 4 osoby. — W ostatniej sprawie na ławie oskarżonych zasiadła rodzina Piekłów, z której matka, Katarzyna Piekło, odpowiadała za podpalenie; Jakób Piekło, mąż, za porozumienie w tej zbrodni, oraz za oszustwo na szkodę Tow. Wzaj. Ubezpieczeń, a zaś Aniela Piekło, córka, również za porozumienie w zbrodni podpalenia. Werdykt ławy przysięgłych, pod przewodnictwem rejenta dra Lipowskiego, orzekł jedynie winę Jakóba Piekło w kierunku oszustwa, przeto trybunał, pod przewodnictwem radcy Matusińskiego, skazał tegoż na 10 miesięcy ciężkiego więzienia z postem co tydzień, a zaś Katarzynę i Anielę Piekło uwolnił od oskarżenia. Oskarżenie przeciw obwinionym wnosił zastępca prokuratora, dr Fr. Bujak. Obrońcami byli dr L. Filimowski, dr Mandelbaum i dr Szafiarski.

Komisja reambulacyjna dla przedłużenia zwrotnic przy istniejącym torze tramwaju krakowskiego na onegdajszem posiedzeniu stwierdziła, że nie wpłynęły żadne zarzuty przeciw przedłużeniu zwrotnic, objętemu planem i przystąpiła do obrad merytorycznych. Ostateczne wnioski komisji przedłożone zostaną namiestnictwu, poczem będzie można szyny żelazne na stalowe zamienić i przedłużać zwrotnice. Towarzystwo tramwajowe poczyniło już przygotowania do szybkiego przeprowadzenia robót, czego wymaga obecny stan toru. Gmina zezwalając na przedłużenie zwrotnic, zastrzegła budowę nowych linij kolei konnej.

Dyrekcja ruchu kolei państwowych w Krakowie wydzierżawia grunta kolejowe w gminach Wolicy i Latoszynie koło Dembicy. Bliższe szczegóły zawiera odnośne ogłoszenie w dzisiejszym Nrze *Głosu Narodu.*

P. Teodor Talowski, znakomity nasz architekt, którego sława wybiegła już oddawna po za galicyjski zaścianek, otrzymał na Wystawie krajowej złoty medal i to za wybitne prace architektoniczne.

P. Aleksy Kowalski, architekt, został mianowany profesorem dla nowo otwartej szkoły zawodowej artystycznego kowalstwa w Sułkowicach.

* **Szkice do Panoramy tatrzańskiej,** wykonują obecnie artyści malarze pp. Piotrowski i Janowski w Krakowie, w pracowni tego pierwszego. Szkice wykonane na płótnach, 3 metry wysokich, a metr szerokich, przedstawiają się już dziś imponująco.

Mundurki dla studentów, prócz zakładu krawieckiego p. Kosiby, o którym wspominaliśmy przed kilku tygodniami, wyrabia także magazyn p. Bernackiego, znany z dawien dawna ze swej rzetelności i dobrej roboty. Donosimy o tem ku wiadomości tych wszystkich, którzy nas pytają u kogo mogliby zamawiać mundurki dla synów.

* **W ślad** za budkami z wodą sodową zamknął wczoraj swoją kawiarnię p. Janikowski na Plantacjach. Koncerty orkiestr wojskowych ucichły.

* **Dochodzą nas skargi** na niezmiernie złą drogę, wiodącą do zakładów kontumacyjnych, począwszy od bastjonu, aż do samego Prądnika. Droga ta, ze względu na licznych interesantów, zmuszonych niemal co dnia komunikować się z Zakładem kontumacyjnym, winna być bezzwłocznie naprawiona.

Otrzymaliśmy pismo następujące: „Nie jest prawdą, jakoby suknia damska, oddana do wyczyszczenia przez Georgettę Feldmann, naszej lwowskiej filji, została zwróconą z plamami. Ostrzeżenie tej pani, umieszczone w *Kurjerze Lwowskim*, było wykonaniem aktu zemsty, który odparliśmy skutecznie przez wyjaśnienie, ogłoszone w *Kurjerze Lwowskim*, z d. 22 września b. r., Nr. 263. Do tego wyjaśnienia odsyłamy tych, którzy nie chcą sprawy jednostronnie sądzić. Z poważaniem

Hecker & Vaternacht.

Niech i tak budzie! Teraz czekajmy póki znów coś nie wyleźe.

* **Nagrody** dla zwycięzców dzisiejszych wyścigów, jak przekonaliśmy się osobiście w sekretarjacie, przedstawiają się wspaniale. W pierwszym rzędzie należy podnieść bogatą srebrną zastawę, jest to hojny dar pani hr. Romanowej Potockiej; drugą nagrodą stanowi śliczny futerał, zawierający dwa kryształowe puhary w kutej srebrnej oprawie z artystycznie rzeźbioną podstawą. Dar to 1-go pułku ułanów. Trzecią z rzędu honorową nagrodą jest ofiarowany przez 12 dragonów im. hr. Neipperga serwis szklanny w srebro oprawny. Nagrodą dam galicyjskich są bogate srebrne przybory do pisania ze złotem piórem. Nadejdą jeszcze nagrody od wiceprezesa, hr. Jana Tarnowskiego, dawnej Resursy krakowskiej i inne. Nagrody zostaną dziś wystawione na torze wyścigowym.

Babie lato. Z chwilą poczynającego się października, jakkolwiek wichry północne smagają nieraz dotkliwie, przywykliśmy do przebłysków zniżającego się słońca, do skośnie padających jego promieni; wyczekujemy z cierpliwością na ostatnią ucztę, jaką darzy nas znikające lato, na owo babie lato.

Dlaczego tę porę roku nazwano „babiem latem“, łatwo odgadnąć. Październik, jak chimeryczna kobieta, ma także swoje wybryki, swoje kaprysy. Raz parzy gorącemi promieniami słońca, jak brunetka swem ognistem spojrzeniem; raz łagodny, spokojny, rozmarzony, tęskny, jak blondynka; to znowu zapowiada się huraganami, wstrząsa liście, obnaża drzewa, rwie krzewy, lub siecze drobniutkim, chłodnym, przenikającym do szpiku kości deszczykiem, jak kobietka, żądna hołdów, miażdżąca serca w swym tryumfalnym pochodzie.

„Babie lato“, jakby stacja ostrzegawcza, jakby przedstwęp do zbliżającej się ciężkiej zimy, zda się szeptać, że te jasne blaski słońca, że te uśmiechy natury — zwodnicze, że należy myśleć o jutrze, zaopatrzyć swój kącik, przygotować konieczne zapasy, pomyśleć o sobie i o innych. Prawda, natura zamiera, ale natomiast przy ognisku domowem poczyna się nowe życie. Kto pokochał zaciszne ustronie, komu los pozwolił mieć własną rodzinę, tego w dniach ciężkiej zimy czeka cisza błoga, odpoczynek, uścisk serdeczny żony i niewypowiedziane roskosze szczebiocącej dziatwy, ten w gniazdku usłanem miłością, odnajduje jedyne, prawdziwe szczęście na ziemi!

Piękne sprostowanie. Czytelnicy nasi zapewne przypominają sobie historyczne sprostowanie dra „docenta“ Landaua, w którem tenże pięć czy też sześć razy z rzędu napisał: „nie jest prawdą“. Otóż w jego sprawie otrzymaliśmy dziś list następujący:

Kalwarja d. 5 września. W dniu dzisiejszym została w c. k. Sądzie powiatowym w Kalwarji przeprowadzoną rozprawa przeciw drowi S. Landauowi. Rozprawę prowadził c. k. sekretarz sądu z Wadowic, p. Stronczak, jako oskarżyciel publiczny występował p. Józef Sułkowski, z c. k. prokuratorji państwa z Wadowic. Rozprawa wykazała prawdziwość uczynionych p. Landauowi zarzutów, skutkiem czego został tenże zasądzony na 10 dni aresztu. Pan Docent może teraz utwierdził się w przekonaniu, że nie jest w „Halbasien“ i przy rozprawie powoli pamięć odzyskiwał. Zapewne już nie będzie powtarzał swej obrony słowami „nieprawdą jest“ i nie wyprze się wyrażenia, że „sądownictwo galicyjskie to Halbasien“, bo świadkowie pod przysięgą potwierdzili wyrażenia się p. Docenta. Śliczne sprostowanie, nie ma co mówicz, bardzo szliczne! Pan docent wyszedł na niem jak Zabłocki na mydle.

Z Tarnowa piszą nam: JE. ks. Ignacy Łobos, biskup tarnowski ofiarował Zgromadzeniu Sióstr św. Ducha de Saxia (od św. Tomasza z Krakowa) na cele budowy ochronki i przytuliska dla sierót w Lubczy (powiat Pilzno) 40 koron. Ponieważ zaś PP. Duchaczki otrzymały z Namiestnictwa, reskr. z dnia 6 sierpnia 1894 r., l. 10.878, pozwolenie na zbieranie składek w powiatach: Pilzno, Tarnów, Bochnia, Grybów, Gorlice, Jasło, Kolbuszowa, Ropczyce, Mielec, Dąbrowa, przeto czcigodny ks. biskup raczył w gorących słowach polecić sprawę Sióstr Duchaczek pobożnej ofiarności swych djecezjan, aktem prezydjalnym z dnia 20 września b. r., l. 147.

Ks. arcyb. Morawskiemu, który 24 b. m. przybywa do Czerniowiec, aby następnego dnia dopełnić poświęcenia nowego kościoła Serca Jezusowego, przygotowują katolicy w Czerniowcach przyjęcie uroczyste.

Nadanie prezenty. Namiestnictwo nadało opróżnione grecko kat. probostwo *regiae collationis* w Cerkownej, księdzu Józefowi Babijowi, gr. kat. proboszczowi w Pieniakach.

Wiadomości dyecezjalne. Archidyecja lwowska obrz. łać.: Instytuował się na probostwo w Baworowie ks. Jan Szuber, proboszcz w Stojanowie. — Dyecezja tarnowska: Administratorem parafji w Grybowie, został ks. Jan Stasiński, wikary miejscowy.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Podhajcach z grupy większych posiadłości, rozpisany został na dzień 12 listopada b. r.

Uczczenie twórców Wystawy. Rada m. Lwowa, odbyła onegdaj tajne posiedzenie, które trwało od godz. 6 do 9 wieczorem przy drzwiach zamkniętych. O godz. $9\frac{1}{4}$ zagaił p. prezydent posiedzenie publiczne, na którem dr Małecki odczytał wniosek następującej treści: „Z uwagi na wielką ważność tegorocznej Wystawy krajowej i na jej powszechnie uznaną nietylko rolniczo-przemysłową i naukowo-artystyczną, ale i moralną, tudzież polityczną doniosłość, zważywszy, że przedsięwzięcie tej miary tylko dzięki bezprzykładnej energji, ofiarności i poświęceniu dało się z taką świetnością wykonać, zważywszy, że mężowie, którym Wystawa urzeczywistnienie swoje zawdzięcza, niespożyte około kraju i miasta położyli zasługi, podpisani wnoszą, Rada raczy uchwalić: „Reprezentacja m. Lwowa wszystkim mężom, którzy w dokonaniu Wystawy uczestniczyli, wyraża swą cześć i wdzięczność (oklaski), zaś ks. Adamowi Sapieże, hr. St. Badeniemu i p. Zdzisławowi Marchwickiemu wotuje nadanie honorowego obywatelstwa. (Podpisani: Dr A. Małecki i w. i.) Wniosek ten Rada jednogłośnie, wśród oklasków, przyjęła. Na tem p. prezydent posiedzenie zamknął.

Przemysłowców, którzy brali udział w Wystawie w liczbie 238, zwołał onegdaj prezydent miasta Lwowa p. Edmund Mochnacki, celem naradzenia się, jaką uroczystością zamknąć Wystawę i jak uczcić twórców tego dzieła. Na wniosek p. Ihnatowicza wybrano komitet z 15 członków, któryby się zastanowił nad szczegółami.

Bankiet urządzony staraniem wystawców na cześć komitetu i dyrekcji Wystawy, odbędzie się 15 b. m. w hali muzycznej.

Jeszcze jeden zjazd w czasie Wystawy, oprócz obradującego właśnie Zjazdu koncepientów adwokackich, zapowiedziano na 14 i 15 b. m. wielki Zjazd reprezentantów 30 miast i miasteczek.

Śmierć od dzika. Na polu pod siołem Briaza, w powiecie kimpolungskim, wieśniak Dymitr Gabo 1 b. m. spostrzegł żerującego dzika i dopędziwszy go, począł okładać drągiem. Odyniec odwinął się, obalił chłopa na ziemię i tak go pokaleczył kłami, że Gabo wkrótce wyzionął ducha.

Trojaki. Na Bukowinie włościanka w Mihowie, w pow. wyżnickim, powiła troje dzieciaków naraz, a to trzech silnych i zdrowych chłopców. Uszczęśliwiony ojciec wystosował natychmiast prośbę do Rządu krajowego o wsparcie na wychowanie trzech przezytych obecnie kraju.

Druga wiosna, ale nie u nas, tylko we Lwo-

wie. Kasztany na Placu Halickim pokryły się tam białem kwieciem jakby maj a nie grudzień zbliżał się do nas.

Sapieha contra Bismarck. Znaną odpowiedź prezesa Wystawy lwowskiej księcia Sapiehy na ostatnie prowokacyjne mowy ks. Bismarcka starał się stojący na usługach polakożerców *Berliner Tageblatt* wytłómaczyć jako „butne wystąpienie polskiego magnata“ przeciw osobie cesarza Wilhelma II za jego mowę toruńską.

Skutkiem tego ks. Sapieha zażądał od lwowskiego korespondenta *Berliner Tageblattu* zamieszczenia sprostowania opiewającego, że aluzja jego toastu skierowaną była nie przeciw cesarzowi, ale wyłącznie przeciw księciu Bismarckowi. Sprostowanie rzeczone lwowskiego korespondenta, umieszczone w wczorajszym rannym numerze *Berl. Tagbl.* brzmi:

„Na wyraźne żądanie księcia Sapiehy donoszę wam, że toast jego był wyłącznie skierowany pod adresem księcia Bismarcka. Książę Sapieha nie myślał wogóle o cesarzu niemieckim. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że pisma wiedeńskie, które ten sam telegram podały, zatytułowały go: „Sapieha i Bismarck“. Proszę was o sprostowanie waszych odnośnych wywodów, zamieszczonych w numerze poniedziałkowym“.

W Petersburgu powstał projekt opodatkowania wszystkich cyklistów na rzecz miasta. Należy dodać, iż w Petersburgu cykliści korzystają w szerokim zakresie z prawa jeżdżenia po mieście.

Dziwoląg. W Peszcie, przedsiębiorca Lindenbaum buduje dom w śródmieściu i przed wystawą jubileuszową go wykończy. Będzie to t. zw. amerykański „mistrcraper“ — drapacz chmur, budynek, licząc od podziemia, o ośmiu piętrach. W podziemiach będą: teatr i sale taneczne: „Folies caprices“ według paryskich „Closerie Lilas“ z jaskiniami cyklopów. Hotel będzie miał, oprócz sal: konwersacyjnej, koncertowej, bibljoteki i jadalni, 200 pokojów. Na dachu będzie palmiarnia, Grand café i restauracja na 1500 osób, oraz *corso* na 800 osób. Winda urządzona na 28 osób, kopuła wysoka 60, szeroka 23 metry, nad nią „Victoria“ z lampą słoneczną. Plany wypracował budowniczy Krumholz. Węgrzy wymyślili zatem już swoją „Wieżę Eiffel“, swoje „Alt-Wien“, oraz „Alt Antwerpen“.

Na Wawel. (Diąg dalszy). Pani Ulanowska złożyła swoją puszkę, tudzież gotówkę, którą jej nadesłali: Pani drowa Marja Harajewicz z Marjenbadu 43 zł. 69 ct. (z puszek: w Muzeum w Raperswylu, dra Harajewicza i swojej), pani Stanisława Szołajska ze Starego Sącza 3 zł., p. Józef Medyński z Brzeżan 6 zł. 59 ct., p. Zofja Cybulska z Humnisk 3 zł. 50 ct., za pośrodnictwem *Nowej Reformy* 16 zł. 8 ct., w tej sumie poseł Stanisław Potoczek 2 zł. zebrane na sejmiku relacyjnym w Muszynie, p. A. Mussil 11 zł. 58 ct. od uczestników zjazdu aptekarzy polskich, p. E. Rogawska z Ołoin 14 zł. z 8 puszek, p. Franc. Stenzel notarjusz we Frysztaku 12 zł. 36 ct., p. Jaśkiewicz aptekarz z Sędziszowa 2 zł. 5 ct., pani Szanowska 1 zł. 12½ ct., p. Zofja Miszke z Wieliczki 13 zł. 20 ct. z dobrowolnych ofiar, prof. Fr. Piekosiński 15 zł. zebrane w Zakopanem, p. Teofilowa Szumlańska ze Lwowa 136 zł. 85 ct., a mianowicie: z 2 dzwonów na Wystawie 64 zł., z rozbicia puszek u niej 41 zł. 55 ct. i od osób z dalszych stron 30 zł. 80 ct.

(Dok. nast.)

Repertoar teatralny. Dziś, w niedzielę, 7 b. m. „Sto djabłów“, komedja w 4 aktach. Jutro, w poniedziałek, dnia 8 b. m., koncert p. E. Cordiere i p. Paszkowskiego, śpiewaków opery. Artyści teatru miejskiego odegrają komedję w 1 akcie Al. hr. Fredry „Posażna Jedynaczka“.

Sprostowanie. Pomiędzy nagrodzonymi na Wystawie mylnie podano p. Jana Batelskiego jako współpracownika warstatu kowalskiego, gdyż tenże jest współpracownikiem pracowni blacharskiej p. Kosydarskiego w Krakowie.

Nekrologja. Michał Komuniec Slaszewicz, b. właściciel dobr, lat 89, zmarł w Krakowie 4 b. m.

Nagrody na Wystawie.

Lwów 3 października.

Na podstawie uchwały komitetu sędziów w dalszym ciągu otrzymali:

Grupa XXVII. (Zabytki pamiątkowe, odnoszące się do muzyki; dzieła i instrumenty muzyczne). Dyplom honorowy komitetu Wystawy: Żarski Tolimir Warszawa, za wynalezienie wybornego i należycie wypróbowanego systemu korygowania skrzypiec.

Medal złoty komitetu Wystawy: Kerntopf i syn, Warszawa, za piękny fortepjan koncertowy, z doskonałą angielską mechaniką. Kotykiewicz Teofil, Wiedeń, za harmonję o pięknych, charakterystycznych rejestrach. Häussler Gustaw, Kraków, za wzorowo korygowane instrumenta i za wyborne imitacje włoskich skrzypiec.

Medal srebrny państwowy: Drozdowski J. i Syn Kraków, za fortepian i pianino. Medal srebrny komitetu Wystawy: Lang K. T., Lwów, za staranne wypracowanie 4 instrumentów smyczkowych (kwartetu). Szebek Fr., Lwów, za wypracowanie instrumentów dętych. Konieczny Alojzy, Jasionów, za organy. Marecki K., Lwów, za fortepian. Jakubowski K., Lwów, za wydawnictwo muzyczne.

Medal bronzowy komitetu Wystawy: Alpiński St., Wiedeń, za klarnety. Klement A., Lwów, za rejestr drewnianych piszczałek. Wojciechowski T., Kraków, za pozytywki. Sojkowski M., Przemyśl, za organy. Groholski, za organy. Sidorowicz i Śliwiński, Stanisławów, za pianina. Tow. św. Wojciecha, Tarnów, za wydawnictwa pieśni kościelnych. Tow. „Bojan“, Lwów, za wydawnictwa muzyczne. Hajdecki A., Mostar, za pracę literacką o instrumencie „lira da braccio“.

Grupa XXVI. (Sztuka zastosowana do przemysłu. Architektura). Dyplom honorowy komitetu Wystawy: Zacharjewicz Juljan, Lwów, za plany wystawowe i w ogóle za przodującą działalność w architekturze i wprowadzanie pięknych form w przemyśle artystycznym.

Złoty medal komitetu Wystawy: Teodor Talowski, Kraków, Alfred Kamienobrodzki, Lwów, za wybitne prace architektoniczne. Jan Sas Zubrzycki, za wydawnictwa i zdjęcia architektoniczne. Juljan Markowsski, Lwow, za rzeźby.

Medal srebrny komitetu Wystawy: Skórzewski Kazimierz, Berlin, L. Becker i D. Krzyczkowski, Zygmunt Hendl, Stefan Schyller, za odszczególniające się prace architektoniczne. Bracia Fleck, Antoni Tuch, za doborowe szkice z malarstwa pokojowego. Albert Neuhauser, za artystycznie wykonane mozaiki. Jakob Szapira, za poprawnie dekorowane szyby szklanne, trawione. Władysław Dedrzeński, Dornhelm, za artystyczne wyroby, kute w srebrze. Walenty Jakubiak, za artystycznie wykonane wyroby pozłotnicze. Władysławowa Krasnopolska, za artystycznie wyrobione tkaniny.

Medal bronzowy komitetu Wystawy. Fabjan Auerbach, Władysław Marconi, Józef Mazurkiewicz, Franciszek Braumann, Adolf Juljusz Stapf, Szczęsny Zaremba, Langrod Zygmunt. Dobrowolski Zygmunt, za dobre szkice i plany architektoniczne. Szeptowski Jozef, za dobre wyroby z masy mozaikowej. Sp. Zofja Stebelska (spadkobiercy), za piękne hafty na tkaninie. Braciom Czapek za modele krajowego zakładu położniczego i innych. Jan Bilenkij, za rzeźby w drzewie. Karol Wawrosz, za artystyczne malowidło na szkle. Drząński, za dobre plany zakładania ogrodów.

List pochwalny: Czarnowski Władysław, za malowidło na tkaninie. Bąkowski Antoni, za inkrustacje w drzewie, Malchier Wilhelm, za wyroby z drzewa i pasty kamiennej, Wład. Weryha Darowski, Leonard Marconi, Karol Kozłowski, Wincenty Rakiewicz, Karol Dziewański, Gustaw Bleichert za plany, Jakób Altberg za wyroby pozłotnicze, Józef Trojanowski za malowidło na szkle, Jakob Chomik za malarstwo pokojowe, Stanisław Piątkiewicz za rzeźbione wyroby z drzewa, Stanecka za malowidło na drzewie, Marja Głowacka, za malowidło na tkaninach.

(C. d. n.)

Pamiętniki tajnego ajenta.

(Ciąg dalszy).

Ja i jeden z owych kłusowników udaliśmy się do lasu. Wśród drogi mój nowy towarzysz nagle oddalił się, kierując kroki w bok, tak, że mi się zdało, iż ma zamiar pójść w pole; więc zapytałem go zaraz:

— A dokądże idziecie tamtędy?

— Idę po moją strzelbę — odrzucił.

I w rzeczy samej zobaczyłem niebawem, jak z pod sterty słomy wyciągnął swoją broń, którą tam był ukrył.

W głębi lasu zwierzyna sama szła pod cel. Mój towarzysz miał snać i zamiłowanie i szczęście do bażantów; co krok bowiem zabijał jednego. Tak zastrzelił ich czternaście! Ja natomiast polowałem na co innego, ale trafem właśnie nie wpadł mi w rękę ani jeden... kłusownik. W Nogent tymczasem zgromadziło ich się ośmiu czy dziesięciu w winiarni na dworcu Mulhouse. Nieszczęście chciało, iż dostrzegli, jak komisarz policji wsiadał do pociągu. Zwąchali zaraz pismo nosem i żaden z nich już nie wyszedł.

Wróciłem tedy, nic nie wskórawszy. W Nogent dałem się poznać memu towarzyszowi, który w tej chwili sporo zjadł strachu.

— Ale że mi byłeś potrzebny — uspokoiłem go — przeto tym razem nie „zahaczę“ cię, wszakże pod jednym warunkiem, iż mi dasz wszelkie możliwe poszlaki co do zabójstwa Bemelsmansa.

Przyrzekł. Na nic się atoli nie przydała jego obietnica, ponieważ nigdy nie odszukano ani właściwego mordercy ani jego spólnika.

W dalszym ciągu mego opowiadania przekona się czytelnik, iż później przecież poszło nam lepiej. Chcemy właśnie mówić o słynnej bandzie, która w istocie głośną była we Francji w 1876 pod nazwą *bande des noyeurs* (topicieli).

I ja używam tu wyrazu „banda“, ponieważ rzeczywiście nie zdarzyło mi się nigdy spotkać stowarzyszenia złodziei, podobnego do tych, jakie przedstawiają romansopisarze, to jest uposażonego w naczelnika, któremuby wszyscy bezwarunkowo byli posłuszni, znali obowiązki swoich zgromadzeń itd. Nasze bandy, prawdziwe bandy rekrutują się z indywiduów, które spotykają się z sobą po szynkach i napawając się wonią trunków, rozprawiają o tem, jak się któremu co „powiodło“, lub gdzieby i kiedy urządzić jaki napad, kradzież „dobrą“ popełnić itd. Wtem nadchodzi jeszcze jeden, potem drugi, trzeci, czwarty złodziej, każdy nowo przybyły wpada zaraz w rozmowę i toczy się tak narada nad nowem łotrostwem. Albo z niego co będzie, albo się nań puszczać nie warto, w każdym razie wśród takiej rozmowy zawiązuje się stosunki z nowym towarzyszem, robi się dobrą znajomość i tak codzień dalej i więcej — aż się ma rozległe wiadomości o tem, gdzie czego szukać itp. Banda tedy, że tak powiem, istnieje moralnie, nie istniejąc stale.

Ta, o której mam właśnie wiele do powiedzenia, obejmowała mniej więcej około stu pięćdziesięciu łotrów, mężczyzn i kobiet, którzy nawzajem znali się pod podobnemi przezwiskami: Bibi, Rajfur, Baranie Udo, Czarniawy, Mały, Brózda, Tałatajstwo, Potrawka, Woli Ogon, Trzy Łapki, Sznur, Gamoń, Brzezina, Kwiat, Pani Bébé, Pani Błoto, Papuga, Niedźwiadek, Łania, Sadownik, Zajączek, Pióropusz, Rozbita Szklanka, Ślepa, Piękny Blondyn, Małpi Pośladek, Dzidziuś, Pani Ziemna itd.

Każdy taki rzezimieszek był już poszukiwany za niepoliczoną ilość popełnionych kradzieży, bądź przy pomocy dorobionych kluczy, bądź przez wyłamanie drzwi lub okna, wreszcie o mniejsze i większe usiłowane zabójstwa.

Pewnego dnia, kilku z nich, polując w lesie Vincennes, zauważyło pod drzewem spoczywającego starca. Gołowąs jakiś, najwyżej dwudziestoletni, odłączył się wtedy od towarzyszy i ułamawszy dużą gałąź drzewa, uderzył nią z całej siły nieszczęśliwca, spokojnie leżącego w cieniu. Poczem ofiarę wstrętnego napadu ograbili wszyscy do spółki z zegarka i pugilaresu i tak ciężko zranionego pozostawili w trawie, pozwalając mu konać...

Tego samego tygodnia strącono do kanału Saint-Martin, pewnego flisaka, któremu poprzednio skradzionio wszystko, co miał przy sobie. Ta ostatnia zbrodnia właśnie była przyczyną, dla której tych podłych rozbójników przezwano „topicielami“, chociaż już później, o ile sobie przypominam, nigdy nikogo nie wrzucili do wody.

(C. d. n.)

HUMOR.

Hojny papa.

Papa Ygrek, wzór prawdziwy
Solidnego ojca. męża,
Był tak skąpy, jakby nosił.
Wciąż w kieszeni swojej węża.
Skąpstwo wadą nie jest pono,
Lecz wrodzoną bywa cechą,
Ygrek skąpi nawet córce,
Co starości jest pociechą.
Pannie Ygrek, prócz posagu,
Gładkie liczko niebo dało,
Więc się chłopiec w niej zakochał
I o rączkę prosił małą.
Młodzi szybko rzecz skończyli.
Załatwiwszy z chłopcem sprawę,
Panna idzie do ojczulku
Prosić, by jej dał wyprawę.
„Papo drogi! Młodzian pewien.
Serce moje zyskał sobie.
Co dasz swojej jedynaczce,
Gdy cię teściem, papo, zrobię?“
Ygrek skrzywił się okrutnie
I rzekł: „Godność teścia cenię;
Za mąż idziesz? Moja córko,
Dam ci... moje pozwolenie“.

Tylko te kobiety skarżą się na brak swobody, które z tejże swobody zły chcą czynić użytek.

Niekiedy gorszem od złej krytyki jest jej milczenie.

Mądrość kończy się tam, gdzie się głupota zaczyna. Najlepszą ilustracją tego twierdzenia jest przykład Sokratesa od chwili, gdy się... ożenił.

— Z chwilą, gdym powrócił do miasta, gdzie powietrze jest tak gęste, a mleko tak rzadkie, tęsknię wciąż za wsią, gdzie powietrze jest tak rzadkie, a mleko tak gęste...

SZARADA.

Rozwiązanie.

Ka — ro — li — na.

Dobre rozwiązanie przysłali: panie Janecka ze Złoczowa, Helena Polańska z Kołomyi, Emilja Lankau i Ludwika Hollaender z Makowa, A. Grabowska z Kleczy Dolnej, Zygmunt i Kazimiera Dobrzańscy z Krakowa.

OSTATNIA POCZTA.

Na onegdajszem posiedzeniu delegacji austrjackiej, oświadczył sprawozdawca, hr. Badeni, że co się tyczy kwestji pojedynków, to w istocie zapatrywania i zwyczaje, w tym względzie panujące w armji, stoją w jaskrawej sprzeczności nietylko z postanowieniami ustawy, lecz także z przepisami katolickiej religji. Wszyscy bez wątpienia pragną, aby to jaskrawe przeciwieństwo

z czasem coraz bardziej się zacierało, wątpić jednak należy, czy właściwą do tego celu drogą jest przedstawienie sprzeczności w nader drastyczny sposób na posiedzeniach parlamentarnych. Rozwiązanie tej kwestji nie zależy wyłącznie od zarządu wojskowego, lecz musi ona być rozwiązaną przez całe społeczeństwo. Usiłowania zatem w tym przedewszystkiem kierunku muszą być zwrócone, aby sprowadzić zmianę w pojęciach społeczeństwa o honorze i złączonych z nim obowiązkach, jak również o środkach obrony tegoż honoru. Wówczas dopiero możnaby żądać, aby armja ze swej strony zastosowała się do zmienionych poglądów.

Izba magnatów po uchwaleniu określenia rozdziału, odnoszącego się do bezwyznaniowości, odrzuciła w trzeciem czytaniu cały projekt ustawy o wolnem wykonywaniu religji. Uchwała ta, będzie zakomunikowaną Izbie deputowanych. Następne posiedzenie w poniedziałek.

Ze Styrji i Dalmacji nadchodzą wiadomości o znacznych wylewach z powodu ciągłych deszczów. Woda unosi mosty i młyny. Zbiory w wielu miejscowościach zniszczone. Komunikacja kolejowa częściowo przerwana. Z Wiednia i Gracu donoszą także o szkodach, przez częste deszcze rządzonych.

Do *Polit. Corresp.* donoszą z Petersburga: W. ks. Jerzy przepędzić ma nadchodzącą zimę nie na Korfu, gdzie będzie przebywała cała rodzina cesarska, ale w Kairze. Cesarski jacht, „Gwiazda polarna“, na którym wielki książę pojedzie do Egiptu, opuścił już Kronsztad i odjechał do Pireus. Odjazd drugiego cesarskiego jachtu „Carewna“, wyznaczony jest na dzień dzisiejszy. Oba statki zatrzymają się na wodach greckich przez cały czas pobytu cesarskiej rodziny na Korfu.

Z Darmstadtu donoszą, że rosyjskiego następcę tronu od przyjazdu do narzeczonej nic innego nie powstrzymało, tylko choroba cara, a następnie choroba carowej, bo i ta pod koniec swego pobytu w Spale nagle zaniemogła. Alicja nie jest przeciwna przejściu na prawosławie, czego dowodem obecność na dworze darmsztackim popa Janiszewa, który ją przygotowuje do zmiany religji.

Międzynarodowy Zjazd urzędników kolejowych w Paryżu, przyjął następujące wnioski: Należy wprowadzić, jako przeciętny czas pracy 8 godzin dziennie, jako maximum trwania pracy, oznaczyć 10 godzin i wprowadzić jeden dzień w tygodniu wypoczynku od pracy, bez zmniejszania obecnej płacy. Ruch pociągów towarowych w niedziele należy wstrzymać i utrzymać go tylko dla towarów, ulegających zniszczeniu. Wreszcie należy ustanowić minimum płacy na zasadzie potrzeb życia.

Biuro Reutera donosi z Szanghai: Według listu z Tientsin, nadeszły tam wiadomości, jakoby wybuchło w Mongolji powstanie, a celem stłumienia tegoż wysłano z Pekinu wojska. W pałacu cesarskim w Pekinie miały zajść poważne rozruchy. Wielu Europejczyków z okolicy udaje się do Tientsinu.

Telegramy.

Wiedeń 7 października (rano). *Pol. Corr.* donosi z Londynu, że w Anglji panuje powszechna obawa, iż sprawa azjatycka doprowadzi do poważnej natury zawikłań pomiędzy Anglją z jednej, a Francją i Rosją z drugiej strony. (Czyż nie mieliśmy słuszności? *Przyp. Red.*)

Wiedeń 7 października (rano). Tutejsza ambasada rosyjska, otrzymała wiadomość, ze carowi nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Budapeszt 7 października (rano). Liberalna polityka rządu doznała dziś w Izbie wyższej dotkliwej porażki przy dyskusji nad ustawą o wolności praktyki religijnej przy paragrafie 3 o bezwyznaniowości, przewódca opozycji, Zichy, wniósł poprawkę, by uznanie jakiegokolwiek wyznania podlegało każdoczesnemu rozstrzygnięciu ciała prawodawczego. Szilagyi i Wekerle odrzucili tę poprawkę, która jednak w imiennem głosowaniu, uzyskała 26 głosów większości. Wskutek tego w trzeciem czytaniu i liberaliści głosowali już przeciw tak zmienionej ustawie. Upadek ustawy wywołał w liberalnych kołach wielką konsternację. Nie ulega wątpliwości, że rząd nie da za wygranę i odwoła się znów do Izby poselskiej. W każdym razie i wbrew wszelkim zaprzeczeniom, stanowisko gabinetu jest serjo zachwiane.

Budapeszt 7 października (rano). Po obiedzie delegacyjnym, cesarz rozmawiał dłuższy czas z Stanisławem hr. Badenim, który zwrócił uwagę na to, iż doniesienie dzienników, jakoby Polacy wskutek uchwały klubowej nie brali udziału w dyskusji nad zagraniczną polityką, jest fałszywe. Polacy nie przemawiali, bo tylokrotnie już objawili swe stanowisko wobec polityki trójprzymierza, a dotąd absolutnie nic nie zaszło, coby mogło na zmianę tego stanowiska wpłynąć. Cesarz rozmawiał długo z Cbrzanowskim i Szczepanowskim o pracach Izby poselskiej.

Czerniowce 7 października (rano). Przeciw kandydatowi koalicyjnemu, Ratlowi, stawiają Rumuni bar. Mustacę.

Berno 7 października (rano). Na jutro zapowiedziano przechadzkę demonstracyjną robotników.

Berlin 7 października (rano). Koła medyczne nie wierzą wiadomości, jakoby car cierpiał na raka nerkowego. Stan jego jest poważny, ale nie wręcz groźny. Leyden skonstatował z wszelką pewnością tylko chorobę Brighta. Nie ma też mowy o drugim ataku apoplektycznym, bo nie było pierwszego. Według *Kreuz Ztg*, car wygląda bardzo zmieniony i polepszenie zgoła się nie objawia.

Kolonja 7 października (rano). Według *Koeln. Ztg*, wiadomości o pogorszeniu się zdrowia cara są przesadne.

Petersburg 7 października (rano). Według tutejszych dzienników stan zdrowia cara zadowalający i żadnych nie ma powodów do obawy.

Paryż 7 października (rano). Dalsze dwa okręty otrzymały rozkaz odpłynięcia do Chin.

Londyn 7 października (rano). Chińczycy znajdują się w pełnym odwrocie z Mukden. Inni twierdzą, że odwrót ma tylko na celu przeszkodzić Japończykom w wylądowaniu w Pe-Tchi-Li. (?) We wtorek w porcie Pe-Tchi-Li widziano japońską flotę, złożoną z 70 okrętów.

Wiedeń 6 października (w południe). Na tutejszej giełdzie, znów krążyła wieść o śmierci cara, ale za ambasada utrzymuje, że jego stan jest niezmieniony.

Londyn 6 października (w południe). *Standard* zapewnia, że car choruje na raka w nerkach.

Berlin 6 października. Cesarz zabawi do d. 12-go b. m. w Hubertusstoku, dokąd udadzą się kanclerz Caprivi i ministrowie pruscy celem złożenia raportów. Zdaje się, że kwestja wyboru środków przeciwdziałania dążnościom przewrotowym rozstrzygnięta będzie w Hubertusstoku.

Berlin 6 października. Półurzędownie zapewniają, że wszystkie kwestje sporne będą w ministerjum rozbierane zasadniczo. Żadnych zmian osobistych oczekiwać nie należy. Stanowisko kanclerza Capriviego jest bezwarunkowo silnem.

Paryż 6 października. Wielu admirałów i prefektów morskich zamierza wziąć dymisję z powodu nieporozumień z ankietą śledczą, zarządzoną przez ministerjum marynarki.

Paryż 6 października. Dzienniki przypisują wielką wagę do faktu, że Waldeck Rousseau przyjął kandydaturę do senatu i tem samem powraca na widownię polityczną. Przewidują bowiem, że Casimir Perier upatruje w nim prezesa przyszłego gabinetu.

Londyn 6 października. Z Hankow donoszą, że władze nie mogą już zapanować nad motłochem chińskim. Prowincja ogołocona z wojska. Stąd obawa rzucenia się na Europejczyków. Żony i dzieci ich przewożą pospiesznie do Shanghai.

Londyn 6 października. Flota japońska, złożona z 17-tu okrętów, blokuje podobno zatokę Peczili.

Londyn 6 października. Japończycy rozproszyli powstańców na Korei.

Londyn 6 października. Krążą pogłoski, że Anglja poleciła Zobeirowi, który włada obecnie terytorjami Czadu, aby od zachodu zaatakował Sudan. W nagrodę otrzyma Zobeir terytorjum, które było przedmiotem umowy angielsko-belgijskiej z d. 12-go maja. Włochy otrzymają oprócz Kassali także Zeilę.

Londyn 6 października. Armja chińska, która opuściła Pjöng-jang, rozłożyła się obozem w Ngana, gdzie przyłączyły się do niej wojska, wysadzone na ląd brzegu Jalu i te, co przybyły z Szingking. Chińczycy pozycję zajętą obwarowali okopami. Przypuszczają, że pod Ngana rozstrzygnięty będzie los wojny.

Belgrad 6 października. Król Aleksander w czasie podróży swojej nie spotka się z królową matką Natalją.

Rzym 6 października. Sąd w Udynie skazał kamieniarza Marietticza za przyznawanie się do teorji Caseria na trzymiesięczne więzienie, karę pieniężną i wydalenie z Włoch.

Marsylja 6 października. Zapewniają, że pomiędzy aresztowanymi tu sześcioma anarchistami znajduje się uczestnik strasznego w skutkach zamachu na teatr barceloński w „Lyceum“.

Wiedeń 7 października. Po zamknięciu giełdy: Kredyty 367·75, Laenderbank 265 20. Staatsbahn 36 ·75, Lombardy 108·—.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcji, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.

Ck. kolejowa Dyrekcja ruchu w Krakowie.

L. 21418. 1114 1—1

Rozpisanie dzierżawy.

Grunta kolejowe położone po prawej stronie toru linii Kraków—Lwów przy kilometrze 107·4—108·0 obejmujące stare łożysko rzeki Wisłoki, oraz przyległe do tegoż pola w gminach Wolicy i Latoszynie w rozmiarze około 49 morgów katastralnych, zostaną w drodze rozprawy ofertowej wraz z drzewostanem tamże się znachodzącym na przeciąg 6 do 12 lat, to jest od 1-go listopada 1894 do 31-go października roku 1900, lub aż do 31-go października 1906 wydzierżawione.

Powyżej wymieniona przestrzeń porośnięta jest częścią wiklami, częścią drzewostanem miękkim i nadaje się do kultury wikli.

Odnośne formularze ofert, jakoteż szczegółowe warunki dzierżawy, można przejrzeć, podjąć lub za przesłaniem porta otrzymać u podpisanej c. k. Dyrekcji ruchu kolei żelaznych, gdzie także i bliższych wyjaśnień dotyczących niniejszej dzierżawy zasięgnąć można. Oferty mogą opiewać także na inny przeciąg lat — lecz zawsze tylko począwszy od 1-go listopada 1894 dalej.

Oferent obowiązany jest podać wysokość kwoty rocznej dzierżawy za całą wyż wymienioną przestrzeń, która będzie płatną każdego roku 1-go listopada z góry i złożyć równocześnie z ofertą poręczne (wadjum) w kwocie 800 złr. w kasie ck. Dyrekcji ruchu w Krakowie, które mu w razie nieuwzględnienia oferty zwróconem, zaś w razie uwzględnienia, na zabezpieczenie warunków dzierżawy jako kaucja zatrzymanem zostanie.

We wszystkich częściach wypełnione i podpisem zaopatrzone formularze ofert, ma się wnieść opieczętowane najpóźniej **do dnia 20 października 1894, godziny 12 w południe** do podpisanej ck. Dyrekcji ruchu. Oferta, jak i ewentualne załączniki muszą być ostemplowane; pierwsza, marką na 50 kr., drugie, marką na 15 ct. od każdego zwykłego arkusza.

Oferty należy zaopatrzyć napisem: „Oferta na dzierżawę gruntów kolejowych we Wolicy i Latoszynie.“

Oferowany roczny czynsz należy wypisać literami. — W każdej ofercie musi być wyrażonem, że oferentowi są znane szczegółowe warunki dzierżawy pomienionych gruntów i że się takowym w zupełności poddaje.

Podpisana c. k. Dyrekcja ruchu zastrzega sobie prawo przyjęcia ofert — albo ich wcale nie uwzględnić bez względu na oferowaną wysokość czynszu rocznego.

Oferty wniesione po powyższym terminie, lub też nieodpowiadające warunkom niniejszego rozpisania, nie będą uwzględnione.

W Krakowie, dnia 30 września 1894.

C. k. Dyrekcja ruchu kolei żelaznych.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny: Józef Rogosz.